NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 17 lipca 1915. Nr. 29.

Po wyparciu nieprzyjaciela.



Kościół we wsi galicyjskiej, zniszczony przez Rosyan.

Po wyparciu nieprzyjaciela.

W uwolnionej od inwazyi rosyjskiej Galicyi zaczyna powoli wracać normalny bieg życia. Huragan wojenny przeleciał jednak przez nasz kraj burzą zniszczenia i trzeba wielu wysiłków i pracy, aby choć prowizorycznie zagoić świeże rany. Przedewszystkiem władze zabrały się energicznie do przywrócenia komunikacyi kolejowej na odzyskanych terytoryach. Pionierzy austryaccy zabrali się z pośpiechem do naprawy uszkodzonych mostów, które w przeważnej części zostały już oddane do użytku. Wraz z przywróceniem komunikacyi, liczne wsie i miasteczka, odcięte przez czas dłuższy kordonem walczących wojsk, odzyskały znów łączność z resztą kraju, a tysiące rodzin teraz dopiero dowiaduje się o losie swych najbliższych.

Rządy Rosyan w Galicyi skończyły się prędzej, niż można było się spodziewać — „oswobodziciele“ rosyjscy musieli wyemigrować tam, skąd przyszli, a jako „pamiątka“ ich zagonów do naszego kraju pozostały ślady zaciętych walk, jakie musiano stoczyć dla wyparcia wroga — poburzone budynki naszych wsi i miast.



Ś. p. podporucznik Roman Włodek.



Bohaterski szwadron ułanów polskich: Szwadron Wąsowicza w Karpatach.

Bohaterski szwadron ułanów polskich.

W poprzednim numerze zamieściliśmy podobiznę rotmistrza Wąsowicza, który zginął bohaterską śmiercią, prowadząc swój szwadron do ataku na okopy rosyjskie. W dzisiejszym numerze zamieszczamy szereg dalszych zdjęć z tego bohaterskiego szwadronu, którego szarża stanowić będzie jedną z chlubniejszych kart w dziejach polskiego oręża.

Jak wywiązali się z zadania polscy ułani, otrzymawszy rozkaz szarżowania betonowych szańców rosyjskich, zaznacza to rozkaz komendy II. brygady Legionów polskich z dnia 14 czerwca 1915 roku, którego ustęp brzmi:

„Stosunki bojowe dnia 13 czerwca domagały się współdziałania kawaleryi przy ataku na oszańcowane pozycye nieprzyjacielskie. Zadanie, które przypadło kawaleryi, nie było łatwe; zostało jednak przez drugi szwadron pod dowództwem rotmistrza Dunin-Wąsowicza, który przytem poniósł śmierć bohaterską, w tak świetny sposób przeprowadzone, iż chyba historya podobnego nie zna przykładu. Szwadron przejechał przez trzy, służące do celów flankowych i częściowo obsadzone rowy strzeleckie i zaatakował potem z bezprzykładną odwagą i pogardą śmierci około dwukilometrowe pozycye główne nieprzyjaciela, przejeżdżając je z flanki wśród najsilniejszego ognia piechoty, karabinów maszynowych i artyleryi. Jeśli spodziewanego rezultatu nie było, należy sprowadzić to do innych nieszczęśliwych okoliczności: szwadron uczynił więcej, niż swą powinność“.



Bohaterski szwadron ułanów polskich: S. p. podpor. Jerzy Topór-Kisielnicki.

Opis szarży pod Rokitną zamieściliśmy już w poprzednim numerze. Należy tu jeszcze dodać, że tylko trzech czy czterech ułanów przejechało wszystkie okopy rosyjskie i wrócili zdrowi do swoich. Reszta, znalazłszy się w ogniu karabinów maszynowych i armat, padła lub odniosła rany.

Poległych pochowano w sąsiedniej Rarańczy, na cichym cmentarzu wiejskim. W pogrzebie wzięli gremialnie udział Legioniści, oficerowie austryaccy i okoliczna ludność... Jeden z uczestników tak opisuje ten smutny obrzęd:

Pod trumnami u krzyża stanął prosty ołtarz polowy, a stóp trumien: kompania sztabowa jedenastego korpusu i dwa plutony naszych ułanów, między któremi stanęła starszyzna: delegacye pułków





Bohaterski szwadron ułanów polskich: Wyjazd szwadronu Wąsowicza z dworca krakowskiego w listopadzie roku zeszłego.

drugiego i trzeciego, oficerowie naszych ułanów i sztabowi oficerowie austryaccy. Dalej za krzyżem prosty, szary tłum wioskowy i ci wszyscy, którzy poszli oddać cześć bohaterom, na ostatni ich odprowadzić spoczynek.



Kaplica barakowa w Libnicy.

Z polskich baraków:



Baraki w Libnicy w zimie.

Zaczęła się cicha, żałobna msza polowa. Przy ołtarzu kapelan polowy ks. Panaś... Słowa modlitwy odmawia, a głos mu drży ze wzruszenia... Przy trumnach uklękli najbliżsi... U zwłok Zbigniewa Wąsowicza klęknął brat jego Bolesław, wachmistrz, służący w tym samym szwadronie. ...Przy każdym ktoś klęczy, druhowie, przyjaciele serdeczni, aż przy jednej na końcu dwie głowy w płaczu się chylą serdecznym... Głowa siwa, osrebrzona schyłkiem dnia rycerskiego i płowa młoda, w której słońce złote roztapia swe blaski. To ojciec i brat ś. p. Łuszczewskiego, syna żegnają i brata. W trzech poszli — dwóch ich jeszcze zostało...

Po mszy egzekwie, ponury i błagalny śpiew.

Śpij kolego w ciemnym grobie,
Niech się przyśni Polska Tobie...

I lecą myśli ku Polsce, lecą ku tej umiłowanej, której tym oto żegnanym już ujrzeć nie dane, chyba w śnie wiecznym.

Chwila ciszy, i podnosi się miarowy głos kapelana:

„Za dusze zmarłych kolegów, których krew przelaną została za honor oręża polskiego. — Oby nie na próżno! Oby z krwi tej Polska wstała! — mówcie Ojcze nasz... Zdrowaś Maryo“...

Chylą się głowy, ku ziemi gną się dumne kolana żołnierskie i modlitwa płynie błagalna w ciszy, jaka rozpostarła się nad tym ogrodem śmierci...

Cisza nastała i spokój... Ściągnęły się w bólu marsowe twarze żołnierskie. Starzy oficerowie austryaccy nawet łez nie hamują... Płaczą żołnierze i tłum wiejski szlochem wybucha.

Salutują oddziały jeden po drugim, i naraz w milczeniu unoszą się trumny jedna po drugiej, na ramionach kolegów dźwignięte. Kołyszą się zlekka, jakby je fala uniosła i jedna po drugiej spływają ostrożnie w otwartą głąb ziemi.

Ksiądz jeszcze modły odprawia i sypie grudkę, poczem zwolna, z pochyloną głową, płacząc podchodzi pułkownik Zieliński i trumnę za trumną mijając, rzuca na każdą grudkę ziemi, grudkę, dudniącą z cicha. Serdeczne pożegnanie kochanego i kochającego pułkownika... A za nim czyni to samo sztab, czynią to samo oficerowie i żołnierze. Sypie się ziemia, sypią się grudy i grudki, przycicha dudnienie na wiekach trumien i rozlega się jeno miarowy szelest sypanej łopatą ziemi.



Bohaterski szwadron ułanów polskich: Grupa oficerów II. szwadronu.

Z polskich baraków.

W chmurną, dżdżystą, zimną, wilgotną jesień dokonywała się powtórna ewakuacya Krakowa. Wróg stał już niemal pod murami naszego grodu, nie było czasu na długie gotowanie się do dalekiej podróży, srogi, ale konieczny rozkaz komendy twierdzy po raz drugi wypędzał kilkanaście tysięcy mieszkańców Krakowa.

Czechy już były zapełnione tułaczami od września i października i kończono już w Chocni budowę obozu barakowego, dla ewakuowanych w listopadzie nie było już tam miejsca. Pociągi przepełnione ludnością skierowano na południe, a po przebyciu niebotycznych, śniegiem okrytych Alp przybyli nasi tułacze do pięknej Styryi, gdzie rząd umyślił ich osiedlić.

Na sławnych ongi „polach libnickich“, tam gdzie stało za czasów rzymskich starożytne Flavium solvense (Flavia solva) w miejscowości Wagna obok miasta Libnicy (niem. Leibnitz) nad rzeką Murem wzniesiono obóz barakowy i w nim pomieszczono kilkunastotysięczną rzeszę ewakuowanych.

Wiemy już nadto dobrze, jak ciężkie i straszne były warunki, w których zmuszoną była żyć ludność polska w Chocni, ale chyba dobrze jeszcze im było w porównaniu z tem, co przeszła ludność nasza z baraków libnickich. Dziś, co prawda, już znośnie ułożyły się stosunki i tamto należy do historyi barakowej, ale zimowe miesiące były bardzo ciężkie, zdawało się, że się nie skończą, że ludność nie przetrzyma.

To też wdzięczność winna ludność baraków tym, którzy w tych najgorszych miesiącach o niej nie zapomnieli, a wśród tych, którzy wiele przyczynili się do poprawy stosunków w barakach w Libnicy, pierwsze miejsce zajmuje poseł hr. Lasocki.

Nie brakło także w barakach tych, którzy tam może byli najpotrzebniejsi: polskich kapłanów. Był ks. Adam Pierzowicz, ks. Karol Bialikiewicz, O. Morawski T. J., O. Bassara O. B., którzy zaskarbili sobie swą pracą na wielką wdzięczność wśród ludności barakowej.

Dla opieki w szpitalach wyjechały z Krakowa na polecenie ks. biskupa Sapiehy Siostry Służebniczki i w liczbie jedenastu pełnią tam swą służbę. Kilka z nich, spełniając posługi w szpitalach zakaźnych zaraziło się, ale Bóg je strzegł, iż wyszły cało z choroby.

Obszerna kaplica barakowa gromadziła tysiące tych biednych tułaczy, którym pozostała ta jedyna pociecha, iż mieli się gdzie wypłakać i pomodlić. Z wiosną opuściły baraki nasze dziewczęta, udając się na roboty do Danii.



Ogólny widok baraków w Libnicy.

Z polskich baraków:



Ulica szpitalna w Libnicy.



Z polskich baraków: Grupa dziewcząt, wyjeżdżających do Danii, przed zarządem i kuchnią barakową w Libnicy

Zarząd baraków pod kierownictwem pana starosty Wollta odnosił się życzliwie do ludności, a zawdzięczać to należy temu, iż byli w zarządzie przeważnie urzędnicy Polacy, panowie komisarze: Skrynian, Kasprzyk, Turkowski, Gołogórski.

Służbę sanitarną pełnili z poświęceniem lekarze: dr. Agostein, dr. Neumann, dr. Mędrkiewicz, dr. Radziszewski. Nadmienić należy, iż kolonią barakową interesował się bardzo namiestnik Styryi, hr. Clary Aldringen, który po kilka razy wraz ze swą małżonką odwiedzał baraki i udzielał darów w ubraniach i bieliźnie między ludność.

Jak gdzieindziej, tak i w Libnicy działał z pożytkiem osobny „Komitet pomocy dla wygnańców“ pod przewodnictwem ks. A. Pierzowicza. W ostatnich dniach nadeszły wieści, że ludność polska ma opróżnić baraki, które zostaną na inny cel przeznaczone. Jeżeli to się sprawdzi, ludność ewakuowana otrzyma zapewne pozwolenie na oddawna upragniony powrót do kraju. *K.*



Z polskich baraków: Zarząd baraków i duchowieństwo kolonii barakowej w Libnicy.

JÓZEF LASOŃ.

LEGIONY

Z pamiętnika sanitaryusza Fr. Ziółkowskiego.

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

I.

Dnia 15 listopada 1914 roku po dokonanym przeglądzie wojsk wyruszyliśmy ze wsi Hechle pod Krzywopłoty. Późnym wieczorem wmaszerowały nasze kompanie, nastąpiła jeszcze raz formacya oddziałów, mój batalion, który był uzupełniający, podzielono pomiędzy poszczególne bataliony, kompania moja dostała się do batalionu VI-go.

Rozbiegli się żołnierze po wsi, wyszukując kwater, z kilkoma kolegami dotarłem do chałupy, gdzie mieściła się austryacka poczta polowa. Chłop przed chatą stał strwożony, na pytanie, czy strych chałupy jest wolny, odpowiedział potakująco.

Noc była chłodna i pomimo słomy i dachu nad głową zimno porządnie dało się we znaki. Skuleni, zziębnięci, przenocowaliśmy w słomie.

Z brzaskiem dnia rozesłane patrole przeszukały wieś, rozpytywać się poczęły w okolicznych domach o patrole nieprzyjacielskie. Niedługo ukazał się łem pospiesznie twarz i z powrotem ukryłem się w rowie; leżeliśmy w nim przez cały czas, aż do odejścia batalionu.

Pierwszy ogień szczęśliwie przetrwaliśmy, nie mając ani jednego rannego.

Po przenocowaniu w szałasach, gdzie zimno dało się porządnie we znaki, alarmem rannym zbudzeni, wyruszyliśmy na pozycyę pod wieś Załęże. Szeregi nasze posuwały się naprzód, a patrol sanitarna, składająca się z dwóch ludzi, dra Słupeckiego i mnie, pozostała kilkadziesiąt kroków wtyle, w lasku świerkowym, w który co chwilę padały granaty i kule karabinowe.

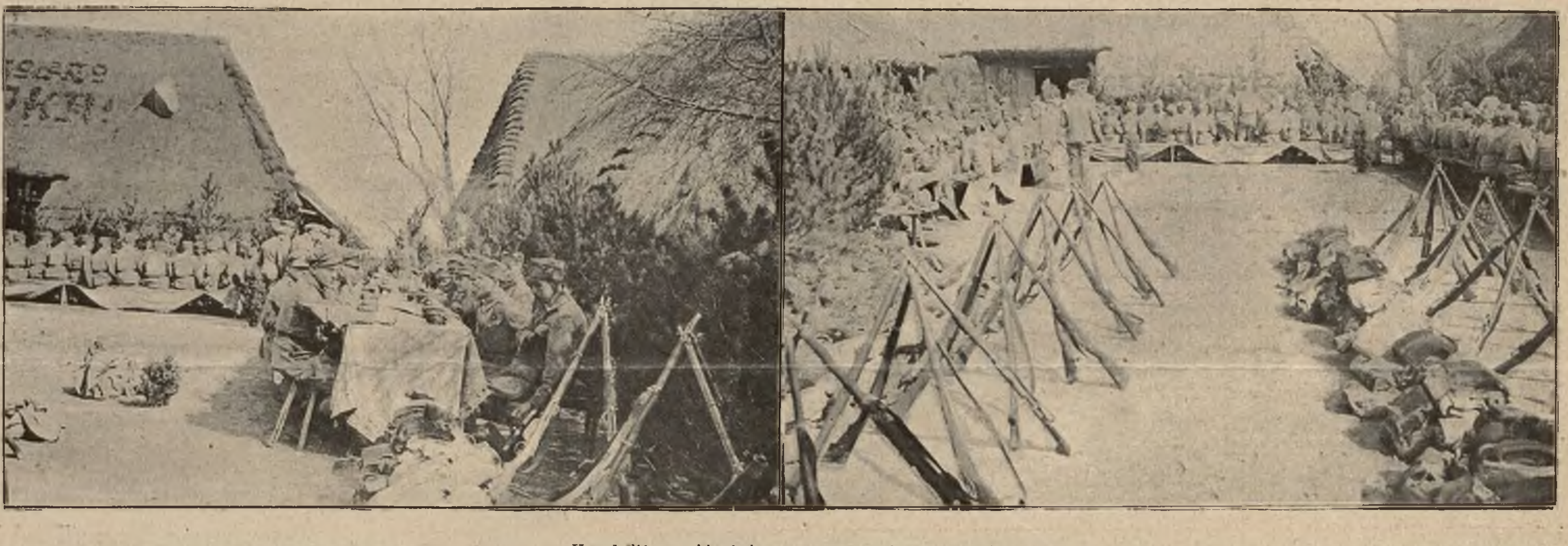
Czas jakiś siedziałem w szałasie, poczem spacerować począłem, słuchając kanonad armatnich, jak również świstu kul, który stawał się coraz ostrzejszy i gęstszy.

Dochodziło echo pomięszanych głosów, co świadczyło, że atak na bagnety się rozpoczął.

Ktoś wzywał pomocy. Zerwałem się szybko i krzyknąłem na leżących w szałasie sanitetów, z patrolowym udaliśmy się na pozycye, gdzie toczył się zażarty bój. Swist kul oszałamiał chwilowo żołnierzy.

Podsunąłem się bliżej ku pozycyi do czterech żołnierzy, którzy wydawali mi się rannymi, pytając, czy nie potrzebują czego. Przytłumionym głosem odpowiedzieli: Nie!

Nie mogłem już myśleć o wydostaniu się poza linię, upadłem na ziemię, przywarłem do niej, pomiędzy strzelającymi żołnierzami. Dopiero, kiedy przycichła kanonada, podniosłem głowę, chcąc się oddalić, jednakże Moskale natychmiast rozpoczęli szalony ogień, co zmusiło mnie do powtórnego padnięcia na ziemię.



„Urządziliśmy sobie święcone po powrocie z pozycyi".

aeroplan austryacki, krążąc nad pozycyą Moskali, którzy sypnęli gradem kul, jednakże nie uszkadzając go. Dopiero ogień artyleryi spędził aeroplan z nad pozycyi.

Bezustannie padały pociski nieprzyjacielkie w wieś, raniąc odważniejszych mieszkańców wioski, którzy ośmielili się pozostać w chatach swoich pomimo niebezpieczeństwa.

Pierwszą ofiarą była ośmioletnia dziewczyna, trafiona odłamkiem szrapnelowym w brzuch, która w parę godzin później umarła.

Podczas strzelaniny artyleryi znajdowałem się pod wsią przy taborze, który został odkryty przez Moskali i ostrzeliwany. Jeden pocisk przedziurawił namiot, drugi tuż przy nogach upadł — oba jednakże nie wybuchły.

Po raz pierwszy tego dnia zobaczyłem wybuch granatu na bliską odległość, bo zaledwie o jakie pięć do sześć kroków przed nami. Wyrwał tylko słup ziemi, wyrzucił w powietrze, obsypując nas grudkami piasku, a nie uszkadzając jednakże nikogo. Kilkanaście pocisków upadło jeszcze, do wieczora trwała kanonada, poczem udałem się do chałupy, gdzie przenocowałem.

Następnego dnia o godzinie w pół do czwartej wyruszyliśmy na pozycyę pomiędzy wsią Krzywopłotami a Załężem, VI-ty batalion stanowił dnia tego rezerwę batalionu IV-ego, który atakował Moskali. Do godziny jedenastej w nocy pozostaliśmy na pozycyi, poczem z drem Słupeckim udaliśmy się do leśnego szałasu.

Podczas tej bitwy przeszedłem z drem Słupeckim pierwszy chrzest ognia, tam właśnie leżeliśmy w rowie pod gradem kul karabinowych tak strasznym, że nie można się było wychylić ani na sekundę. Zdołałem jednak zimną krew utrzymać, i w chwili, kiedy wyjrzałem z rowu, zaryła się kula przedemną, grudki ziemi obsypały mi twarz. Obtarłem

Byliśmy już z towarzyszami przygotowani na śmierć, gdyż z jednej strony byliśmy na odkrytem polu, podczas gdy Moskale, doskonale ukryci w okopach, nieustannym prażyli nas ogniem.

Jeden z pomiędzy nas westchnął, skrzywił usta od bólu, puścił karabin na ziemię i omdlał. Zauważyłem to, a nie zważając na padające pociski, zerwałem się w mgnieniu oka i usiłowałem rannego wycofać z pola, dopiero jeden z sanitaryuszy podbiegłszy ku nam z noszami, dopomógł mi w ułożeniu rannego na nich.

Moskale spostrzegli nas na odkrytem polu i poczęli coraz gęstszy ogień ku nam kierować.

Trzeba było położyć rannego na ziemi, sami padliśmy obok niego.

Jedna z kul raniła leżącego na noszach, który na chwilę odzyskał przytomność. Wziąłem go pod rękę i z trudem zaprowadziłem do lasku, gdzie w chacie wieśniaczej urządzony był lazaret polowy.

Atak ten trwał do godziny drugiej popołudniu. Była to wielka bitwa, żołnierze, którzy przeszli bój pod Laskami, po bitwie tej długo o niej rozprawiali.

Po bitwie tej sanitaryusze VI-ego batalionu zostali przydzieleni do opieki nad chorymi. Polecono mi opiekę nad jednym z ciężko rannych i zawiezienie go do Kwaśniowa, gdzie był szpital polowy.

Ksiądz tamtejszy część Legionistów wyspowiadał, reszcie udzielił błogosławieństwa.

Kwaśniowa przepełniona była rannymi, nie było miejsca dla tych, których przywieźliśmy z pola. Rannych wniesiono na salę operacyjną, później do chałupy. Przenocowałem z rannymi, dnia następnego opuściłem wieś, udając się z powrotem pod Krzywopłoty.

W lasku kompanie stały w szyku sformowanym, zbierano ochotników na atak pozycyi nieprzyjacielskich. Szeregi ruszyły naprzód, ja pozostałem w lesie, przeszukując gąszcza i zarośla.

Po powrocie, gdzie poprzednio stały bataliony, nie zastałem już nikogo, ruszyłem sam na pozycye, aby odnaleźć mój batalion. Nie znalazłszy jednak batalionu, wycofałem się z pod ognia i pod wieczór zaszedłem do Kwaśniowej. Przenocowałem w chacie z dwoma rannymi, którymi zaopiekowałem się i po dwu dniach, kiedy czuli się już na siłach, wytransportowałem ich do kolei.

Dnia 21 nastąpił wymarsz z Kwaśniowej przez Klusze do Bogucina. Pod wsią tą odbył się przegląd wojska naszego, przyczem odczytano najwyższe uznanie za walkę i bohaterskie stanowisko, poczem obdarzono trzech Legionistów medalami.

W Bogucinie staliśmy do 23 listopada, wieczorem nastąpił wymarsz do wsi Pomorzany, gdzie zatrzymano się jedną noc, wczesnym zaś rankiem następnego dnia pomaszerowaliśmy dalej przez Olkuskie Przedmieście, Bolesław, Sławków do Strzemieszyc.

Do 26 listopada staliśmy na odpoczynku. Brak chleba dał się nam we znaki, gdyż nigdzie go nie można było kupić. Mnie udało się dostać dwa bochenki z piekarni wojskowej.

Przybyliśmy na stacyę, ulokowano nas w wagonach i pociąg ruszył w stronę Galicyi. Drugiego dnia przybyliśmy do Suchej, gdzie uraczono nas czarną kawą, poczem nastąpił wymarsz do Makowa.

Dnia 30 listopada wyjechaliśmy z Makowa do Nowego Targu, skąd 7 grudnia przeszliśmy przez Karpaty i znaleźliśmy się we wsi, pod samem Zakopanem leżącej. Po spoczynku udaliśmy się przez Szaflary, Nowy Targ do Waksmundu.

Dnia 20 grudnia o godzinie czwartej nastąpił wymarsz przez Nowy Sącz do Dąbrowy. W Nowym Sączu most na Dunajcu był uszkodzony, ostrożnie więc przeprawiono się przez niego.

Dnia następnego, to jest 21 grudnia, przybyliśmy do Olszowy, skąd wysłany zostałem jako kwatermistrz do Zakliczyna. Kwatermistrz konno pojechał naprzód w inną stronę, my zaś poszliśmy na lewo w drugą stronę.

Rano wyruszliśmy w stronę Tarnowa. W drodze obtarł mi but nogę i musiałem pozostać wtyle. Samotnie zdążając, zbliżyłem się wieczorem do miasta, nie wiedząc, gdzie stanął VI. batalion; było to już na pozycyi pod Łowczówkiem.

Udając się w stronę pozycyi, natrafiłem na nasz oddział kawaleryi, który mię objaśnił, gdzie będzie można oddział sanitarny odnaleźć. Wszedłszy do chaty, zastaję lekarza batalionu, jak również i lekarza brygady, który mnie wysyła do pierwszego batalionu.

Komu w drogę, temu czas — udałem się w stronę pozycyi we wskazanym kierunku, przeszedłem przez las i wstąpiłem na pole orne, przez które przelatywały pociski. Odnalazłszy batalion drugi, oddałem przeznaczoną dla nich część opatrunków dr. Jakowickiemu. Na skraju lasu rozłożył się batalion pierwszy, do którego byłem przeznaczony. Jednakże, pomimo całodziennej walki, nie było z naszej strony ani jednego rannego.

W czasie tym poszedłem do okopów i strzelałem z karabinu. Żołnierz austryacki, leżący obok mnie, został rannym w nogę. Opatrzyłem mu ranę i oddałem go opiece sanitetów austryackich.

Strzelając w dalszym ciągu, zraniłem podsuwającego się Moskala, przyczem zauważyłem, że w za-

roślach na prawo coś się rusza. Wycelowałem w to miejsce, po wystrzale wypadł z miejsca tego Moskal bez karabinu i pospiesznym krokiem począł się zbliżać ku nam. Gdy się przybliżył do naszych okopów, wyszedłem z rowu i zabrałem go do niewoli, a odprowadziwszy w głąb lasku, oddałem w ręce austryackiego żołnierza. Był to oficer, komendant plutonu.

Przez cały dzień nic w ustach nie mieliśmy — ba — nie było nawet czasu myśleć o jedzeniu.

Wieczorem, siedząc w okopach z trzema kolegami, rozmawialiśmy o sytuacyi.

— Wiecie co? — pyta jeden z nich — Czemu Moskale nie strzelają z armat, może się cofają?

— E, nie! Może nie chcą zdradzać pozycyi swoich. — rzekł drugi.

— Zdaje się — mówi ostatni z kolegów — że już armat nie mają...

Rozmowę przerwał nam silny ogień artyleryi, który pociski słał nieustannie w lasek. Granaty padały tuż obok nas, okop trzeci, przed nami, wysadzony został w powietrze. Przed kilkoma minutami byli w tym okopie Legioniści, całe ich szczęście, że wczas uszli, gdyż wybuch pozbawiłby ich życia.

Moskale bili w las ten przeszło godzinę, granaty pękały naokoło nas tak gęsto, że musieliśmy opuścić okop. Jednakże po kilku chwilach przekonaliśmy się o niemożliwości wycofania się z linii, powróciliśmy zatem do okopów.

Było to w nocy z dnia 23 na 24 grudnia. Noc tą spędziliśmy pod gradem granatów i szrapneli.

W wigilię Bożego Narodzenia opuściłem okop, udając się do wsi, gdzie zastałem trzech ludzi z naszej kompanii, którzy wysłani byli po amunicyę.

Połączyłem się z nimi i poszliśmy razem na pozycyę, którą zajmował VI. batalion. Kilku sanitaryuszy było we wsi, udałem się do nich. Wieś była ogołocona ze wszystkiego i, choć pieniądze mieliśmy, nie można było dostać nic do zjedzenia.

Wigilia zeszła nam więc na prawdziwym poście, bo oprócz dwóch sucharów i trochę wody, nic nie mieliśmy w ustach.

Wieczorem zabrano rannych i poczęliśmy się cofać.

Jednakże komendanci dostali rozkaz powtórnego zajęcia opuszczonych pozycyi.

Wysłane patrole poinformowały, że okopy zajęte są już przez Moskali. Okazało się to jednak nie w zupełności prawdą, gdyż, gdyśmy przyszli, okopy były opróżnione. Widocznie Moskale nie czuli się na siłach, aby utrzymali te pozycye, więc przeszukali tylko rowy i cofnęli się z powrotem.

Przesiedzieliśmy całą noc, aż do godziny trzeciej po południu i o tej porze zostaliśmy zmienieni.

Dnia 25 grudnia Moskale szturmowali nas co chwila. Wciąż było słychać przeciągłe krzyki „ura, urra“. Ataki te jednak zostały odparte i pozycya utrzymana.

Wieczorem odmaszerowali saniteci do Wróblowic.

— — — — — — — — — — — —

W Wróblowicach całej brygadzie rozdawano podarki gwiazdkowe. Każdy z żołnierzy dostał woreczek, w którym znajdowały się rzeczy świątalne, jak cukierki, orzechy, figi, papierosy, karty pocztowe, tytoń, czekolada i t. p.

II.

Lipnica. Tu zachorowałem z przeziębienia i wysłany zostałem do szpitala w Bochni.

Przychodzili do nas do szpitala goście, obdarzając nas rozmaitymi podarkami, jak również i ksiądz tamtejszy, który zawsze przynosił książki, gazety, papierosy. To też z żalem opuszczaliśmy Bochnię, skąd nas przeniesiono do Kęt.

— — — — — — — — — — — —

W końcu lutego 1915 roku rozeszła się pogłoska, że cała brygada wyjedzie do Królestwa. Pomiędzy Królewiakami zapanowała radość.

Wkrótce nastąpił wymarsz z Kobiernic do Bielska. O godzinie drugiej przybyliśmy na stacyę kolejową, karabiny ustawili w kozły, zjedzono obiad, poczem wsiedliśmy do wagonów.

Nocą przyjechaliśmy do Jędrzejowa, skąd odmaszerowaliśmy do wsi Opatkowice, gdzie kwaterowaliśmy do 3 go marca.

Tegoż dnia wyruszył batalion VI-ty na pozycyę, mieszczącą się przy wsi Sobowicach.

Ośmnaście dni bez zmiany staliśmy na tej pozycyi.

Dnia 25-go marca, to znaczy w same święta Wielkanocne, udaliśmy się na pozycye pod Tur.

Urządziliśmy sobie święcone po powrocie z pozycyi.

— — — — — — — — — — — —

Zajęliśmy pozycye pod Pińczowem, nad Nidą.

Pierwszego dnia rano kapral z naszej kompanii poszedł nad Nidę, gdzie rozmawiał z Moskalami. Podczas tej rozmowy Moskale przerzucili drut z listem. Kapral wziął list i począł odczytywać, podczas tego Moskale zażądali od niego, żeby się drutem przewiązał. Pod groźbą wymierzonych w głowę jego karabinów, musiał biedak przewiązać się drutem. Moskale zaś przeciągli go przez Nidę i zabrali do swych okopów. Było wprawdzie więcej strzelców około niego, ale oni poukrywali się w okopach swoich. Dnia tego mieliśmy dwóch zabitych żołnierzy.

Po kilku dniach powtórnie zachorowałem i odesłany zostałem do szpitala w Jędrzejowie.

Uroczystości polskie w Budapeszcie.

(Korespondencya własna „Nowości Illustrowanych“)

Budapeszt, 22 czerwca.

Do wygnańców naszych zawitał do Budapesztu dostojny gość, ks. biskup dr. Władysław Bandurski. Celem jego przybycia było nie zobaczenie stolicy ojczyznę i wolność. Tutaj po raz pierwszy od wielu miesięcy usłyszałem szept polskiego pacierza. O ileż wspomnień łączy się z tym pacierzem!

Najpierw przemówił kaznodzieja węgierski, który w przemówieniu swem zapoznał Węgrów ze znaczeniem Polski. Podobną treść miało jego przemówienie w języku niemieckim.

Jakiegoż jednak wzruszenia doznałem, zobaczyw- przez Dniestr, San i hen aż po Wisłę i Nidę burza przewala się ponad naszymi łanami, tak z drugiej strony jest potwierdzeniem, że Polska znów spełnia swoje posłannictwo pełnienia ofiar za świętą sprawę.

Po kazaniu odśpiewała jedna z pań „Boże coś Polskę“ przy akompaniamencie organów. Odprawiono modlitwę przy katafalku za dusze poległych Legio-





Uroczystości polskie w Budapeszcie: Ks. biskup Bandurski udziela Sakramentu bierzmowania.

węgierskiej, lecz chęć pokrzepienia garstki Polaków, których burza wojenna zagnała w mury Budapesztu.

W kościele O. O. Serwitów na Szervita tér zebrała się na nabożeństwo żałobne za poległych na polu chwały Legionistów garstka Polaków i dość licznie publiczność węgierska, a nawet niemiecka. Przy rzęsiście oświetlonym katafalku, otoczonym przez chwilowo przebywających w Budapeszcie Legionistów, stanął również komitet miejscowy ze sztandarem polskim. Na widok orła białego, rozpostartego na czerwonem tle sztandaru, mimowoli rzucały się łzy do oczu, serce biło wzniosłem tętnem, a myśl ulatywała hen, na te łany, dawniej szumiące zielenią zbóż, a dzisiaj poorane rowami strzeleckimi i zbryzgane obficie krwią wojowników za wiarę, szy, że na kazalnicę wychodzi znany mi już dawniej i znany w całej Galicyi znakomity kaznodzieja, ks. biskup Bandurski. Przemówienie swoje zaczął słowami psalmisty: Do Twego miłosierdzia z głębokości wołamy Panie!

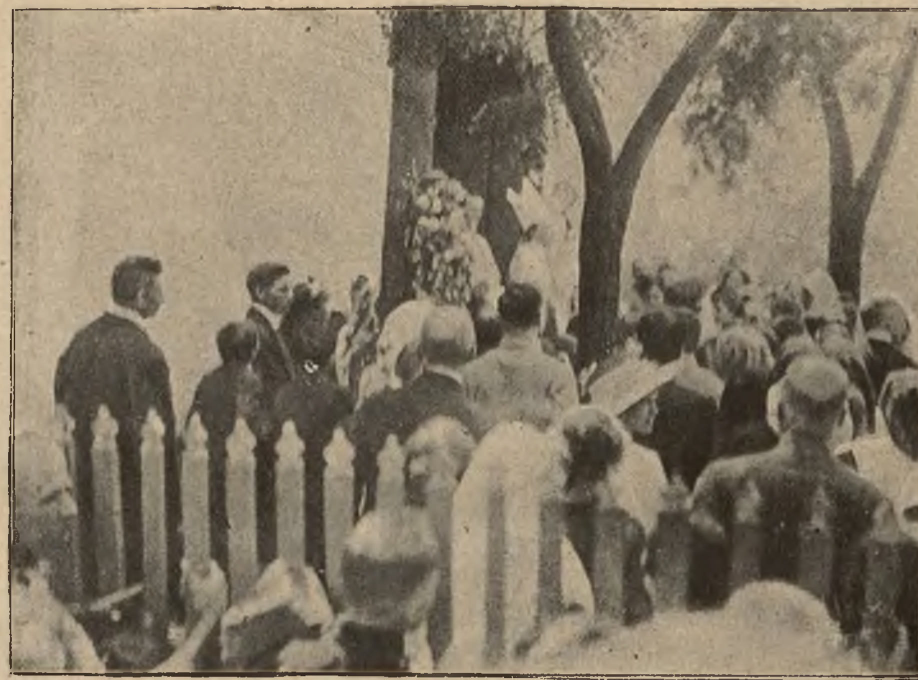
Wspomniał o historycznem znaczeniu Polski, zaznaczył, że Polska już nie po raz pierwszy prowadzi bój w obronie wiary i kultury, i choć rozdarta na trzy części, nie przestała wierzyć w jutrzenkę wolności. Trzydzieści tysięcy młodzieży poszło na bój za wiarę i ojczyznę, idąc za popędem serca i ratując honor narodu. Cześć więc wojownikom, którzy z pogardą śmierci z białą bronią szli na armaty moskiewskie!

Jak więc z jednej strony żal, że od Bessarabii nistów, za te — wedle słów ks. biskupa — dzieci niewinnie zgładzone, i po odśpiewaniu chorału „Z dymem pożarów“ i „Boże Ojcze“ rozeszli się wzruszeni wszyscy do domów. Garstka Legionistów składała się z młodzieńców, pochodzących z Krakowa, Rzeszowa, Tarnowa i Warszawy.

Nazajutrz zebrała się o godz. 10 rano w kościółku polskim w dziesiątym obwodzie przy Kápolna tér na Köbanyi znaczna liczba Polaków, gdzie po odprawionej sumie ks. Biskup przemówił do zebranego ludu na podwórzu kościelnem i udzielił następnie dzieciom, a nawet kilku starszym sakramentu bierzmowania.

Po uroczystości bierzmowania odbyła się uroczysta procesya na róg ulicy Apafly i Oehegy ut,





Uroczystości polskie w Budapeszcie:
Ks biskup Bandurski w otoczeniu Legionistów na pokładzie statku. Przemówienie ks. biskupa Bandurskiego do zgromadzonych Polaków.

gdzie poświęcono grunt, przeznaczony pod budowę nowego polskiego kościoła.

Dnia następnego o godz. 3 popołudniu ruszyła urządzona przez związek katolickich Węgrów wycieczka okrętem do Wyszehradu, złożona przeważnie z Węgrów, wśród których znajdowało się kilkanaście rodzin polskich i ks. biskup Bandurski, otoczony przez kilku polskich księży. Wśród radosnych okrzyków okręt podniósł kotwicę i zwolna oddalaliśmy się od brzegu, żegnani powiewaniem chustek pozostałych na brzegu mieszkańców.

Podróż trwała około czterech godzin, urozmaicana śpiewami polskich Legionistów naprzemian z Węgrami. Nawet przyroda nie odmówiła nam swego koncertu, jakoteż hojnego poroszenia z góry, co jednak humoru wcale nie popsuło, tembardziej, że ulewa trwała tylko do połowy drogi.

Ze śpiewem Węgrów „Isten ki Lengyel“ (Boże coś Polskę) dobiliśmy do brzegu wyszehradzkiego, dawnego zamku książąt Matyasów.

Na brzegu powitała nas licznie zgromadzona publiczność i wśród wesołych okrzyków „Eljen“ dążyliśmy piękną aleją, wysadzaną drzewami orzechowemi, jabłoniami, do znajdującego się w pobliżu kościółka św. Salomei, uświęconego pobytem świętej Kingi. Naprzeciw ks. biskupa wyszła z kościoła procesya z chorągwiami i wśród bicia dzwonów i okrzyków „Eljen“ weszliśmy na cmentarz kościelny, gdzie jeden z kapłanów węgierskich wygłosił przepiękną mowę w języku węgierskim, objaśniającą miejscową ludność o celu wycieczki, przypomniał, jakie związki łączyły dawniej Węgrów z Polską, zapoznał z Legionami polskimi, ich celem i działaniem. Przemowę swoją zakończył słowami: Polak, Węgier, to dwaj bracia i Bóg nie pozwoli, by Polska dalej w kajdanach jęczała!



Uroczystości polskie w Budapeszcie: Grupa Legionistów, biorących udział w uroczystości.

Mówcę nagrodzono gromkimi oklaskami i okrzykami: Eljen Lengyelország! Eljen a haza! (Niech żyje Polska! Niech żyje ojczyzna!)

Po przemówieniu wszyscy obecni udali się na nabożeństwo błagalne do kościoła, śpiewając „Isten ki Lengyel“ przy akompaniamencie organów. Tu przemówił z kazalnicy do zebranych ks. biskup Bandurski. Najpierw wspomniał o związkach, jakie łączyły dawniej Węgrów z Polakami, że to były dwa bratnie narody, że z Węgier dostaliśmy dzielnego króla Stefana Batorego i dwie świątobliwe królowe: św. Kingę i królowę Jadwigę. Przypomniał też Węgrom, że król Jan III. Sobieski bił Turków na ich ziemi i polecił Węgrom, jako święty ich obowiązek, kiedy przyjdzie do stanowienia granic przyszłych państw, by nie wahali się stanąć wspólnie za utworzeniem wolnej, niepodległej Polski.

Następnie, zwracając się do ołtarza św. Salomei, wzniósł błagalną prośbę o zaopiekowanie się biednym ludem polskim.

Po błogosławieństwie Najświętszym Sakramentem jedna z pań odśpiewała chorał „Z dymem pożarów“ przy wtórze organów, a następnie cała pu-



Na zajętym terenie Królestwa Polskiego: Katedra i zamek w Sandomierzu od strony Wisły.



Z oswobodzonej Galicyi: Uszkodzone domy w Krośnie.

blicznośc zaintonowała pełną piersią hymn węgierski i „Isten ki Lengyel“.

Powrót odbył się już o zmroku około godziny dziewiątej. Wśród zgromadzonych na okręcie panowało wielkie ożywienie i serdeczność. Spiewom i okrzykom przyjaźni nie było końca i ani nie spostrzegliśmy się, że koniec podróży się zbliża. O godz. 12 w nocy okręt dobił do brzegów Pesztu, gdzie pożegnano się serdecznie. *Por. Franciszek Roman.*

Pięćdziesięciolecie pracy zakonnej.

Któż w Krakowie nie zna O. Letusa Bernatka, byłego przeora tutejszego zakonu Bonifratrów? Osobistość to nad wyraz popularna, otaczana ogólną czcią i szacunkiem, a nazwisko Jego głęboko zapisane jest w sercu Krakowian, chętnie sercem płacących za serce.

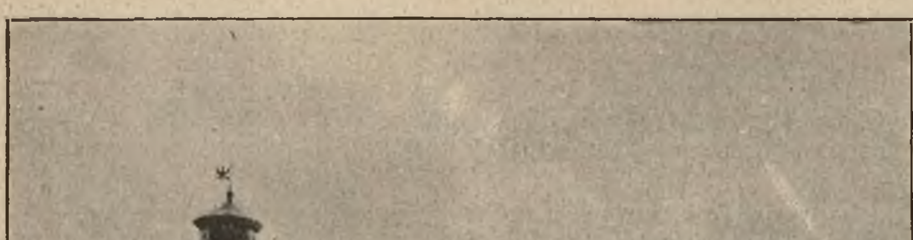
Czcigodny ten zakonnik, który całe swe życie poświęcił dla dobra cierpiącej ludzkości, zwłaszcza tej najbiedniejszej, w ubiegłą niedzielę obchodził pięćdziesiątą rocznicę wstąpienia w progi klasztorne i swej prawdziwie samarytańskiej pracy, a lwią część tego czasu spędził w Krakowie, który nad wyraz ukochał i uważał go zawsze za swą drugą ojczyznę.

Kiedy ojciec Letus, Morawiak z pochodzenia, przybył do Krakowa przed laty, szpital i zakon Braci Miłosierdzia chyliły się do upadku, zdawało się już, że ludność miasta i okolicy pozbawioną będzie tak potrzebnej i pożytecznej opieki. Od pierwszej chwili rozwinął też niezwykle czynną działalność i dzięki Jego właśnie zabiegom powstał kosztem przeszło półmilionowym wspaniały gmach szpitalny, liczący sto dwadzieścia łóżek, gdy poprzedni miał ich dziesięć zaledwie, a pomieszczony był w celach klasztornych, zadaniu swemu nie odpowiadających.

Fundusze zebrane zostały w drodze składek, a ta hojność krakowskiego obywatelstwa, to właśnie najlepszy dowód zaufania, jakiem otaczano Czcigodnego Przeora. Gorliwym protektorem O. Bernatka był zwłaszcza ś. p. Andrzej hr. Potocki, ówczesny namiestnik Galicyi.



Pięćdziesięciolecie pracy zakonnej: O. Letus Bernatek, były przeor krakowskiego konwentu Braci Miłosierdzia.

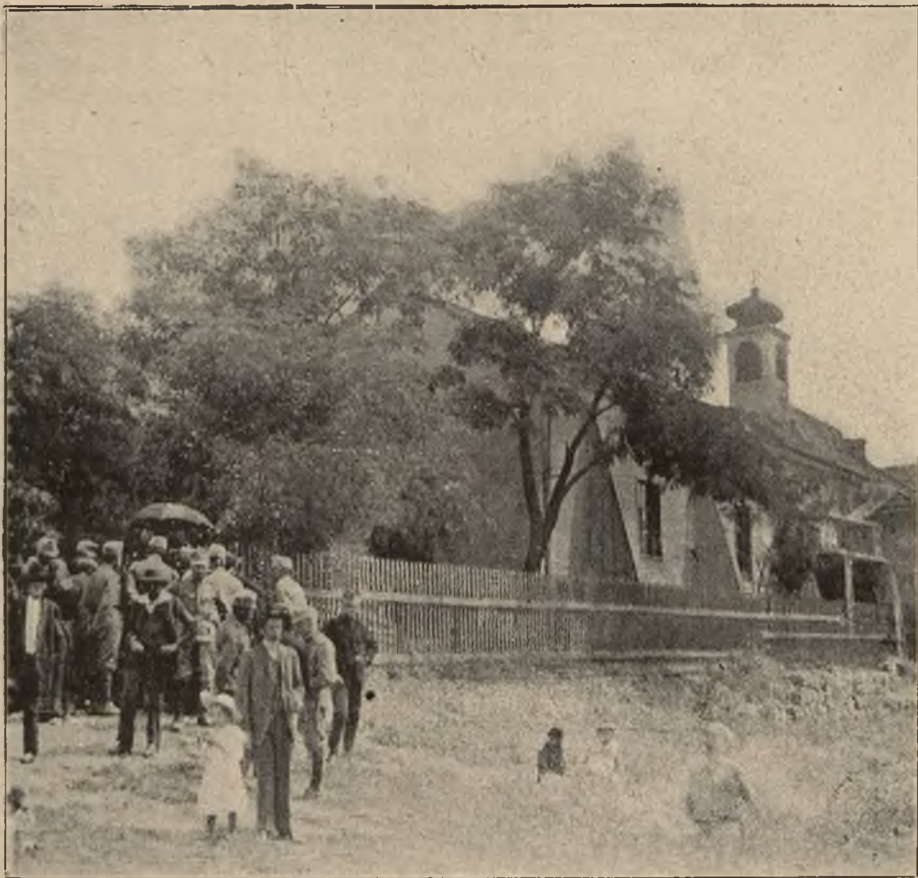


Ratusz z XIV wieku w Sandomierzu.



Brama Opatowska w Sandomierzu.

Na zajętym terenie Królestwa Polskiego:



Uroczystości polskie w Budapeszcie: Kościół polskiej kolonii w Budapeszcie.



Lwów w czasie inwazyi rosyjskiej: Przemarsz wojsk rosyjskich

Ponadto za Jego rządów i za Jego głównie staraniem odnowiono klasztor Braci Miłosierdzia i znajdujący się przy nim kościół Swiętej Trójcy. — O. Bernatek, choć ciężkie nieraz dla Zakonu przychodziły chwile, nie zrażał się przecież nigdy trudnościami, ale szedł śmiało naprzód, dając tem piękny przykład wytrwałości młodemu pokoleniu. Nie należy także zapominać o tem, iż On właśnie dołożył starań, aby w szeregach zakonników było jak najwięcej Polaków.

Przez lat ośmnaście pracował Jubilat jako przeor w krakowskim konwencie, poświęcając się zawsze dziełom chrześcijańskiego miłosierdzia, nie przyjął też ofiarowanej sobie godności prowincyała, wolał natomiast, jako zwykły zakonnik, gdy siły już zaczęły odmawiać, powrócić w ukochane mury i między tych biedaków, dla których dobra całe życie swe poświęcił.

Nie pozostał przecież i teraz bezczynnym, podejmując, jako dyplomowany magister farmacyi, pracę w aptece szpitalnej, obecnie zaś zajęty jest w aptece wojskowego szpitala epidemicznego, pomieszczonego w zabudowaniach Braci Miłosierdzia, z całem zaparciem pracując dla dobra chorych.

Za swe zasługi spotykał się O. Letus Bernatek już niejednokrotnie z dowodami uznania tak ze strony sfer najwyższych, jak i całego społeczeństwa, otrzymał też od Najjaśniejszego Pana trzy odznaczenia, mianowicie krzyż kawalerski orderu Franciszka Józefa, złoty krzyż zasługi z koroną i honorowy medal za czterdziestoletnią wierną służbę.



Lwów w czasie inwazyi rosyjskiej: Charakterystyczne typy kozaków.

Dziś, gdy Czcigodny Jubilat spogląda na półwiekowy okres swej mozolnej, a owocnej pracy, może o sobie z dumą powiedzieć, że życia nie zmarnował, a nazwisko swe prawdziwie złotemi głoskami zapisał w dziejach Zakonu, Krakowa i całego polskiego społeczeństwa, które nigdy nie zapomni tych zasług, jakie dlań położył ten cichy zakonnik, prawdziwy opiekun biednych robotników i rękodzielników.

Oby Mu długie jeszcze lata danem było patrzeć na chlubny rozwój rozpoczętego przez się dzieła!

Lwów w czasie inwazyi rosyjskiej.

Teraz dopiero, po wypędzeniu Rosyan ze Lwowa, dochodzą prawdziwe szczegóły z czasów inwazyi rosyjskiej w tem mieście. Pisma codzienne są przepełnione relacyami korespondentów, którzy zdołali dotrzeć do Lwowa i wiadomościami pism miejscowych, które obecnie przytaczają różne kwiatki z gospodarki rosyjskiej. Nie będziemy szczegółowo streszczać tych opisów, znanych już z pewnością na-





Żołnierze rosyjscy targują się z przekupkami. **Lwów w czasie inwazyi rosyjskiej:** Kozacy patrolują



Lwów w czasie inwazyi rosyjskiej: Targ na placu Krakowskim.

szym Czytelnikom. Warto jednakże podkreślić tu główne momenty rządów rosyjskich we Lwowie... Wkroczywszy do stolicy kraju, Rosyanie początkowo zachowywali się dość poprawnie. Jakkolwiek miasto zalano wojskiem, straż na ulicach pełniła milicya, a nad bezpieczeństwem czuwała miejscowa policya. W miarę jednakże, jak wojska rosyjskie czyniły coraz dalsze zagony na zachód i Rosyanie czuli we Lwowie coraz pewniejszy grunt pod nogami, zaczęła się coraz gwałtowniejsza rusyfikacya. Mianowany po hr. Szeremietiewie gubernatorem hr. Bobrinskij nie krył się już bynajmniej z swymi zamiarami. Rozwiązano milicyę obywatelską, a natomiast zjechała do Lwowa „ochrana" i rozpoczęła urzędować na swój sposób, dokonywując licznych rewizyi i aresztowań. Gubernator Bobrinskij podczas przyjęcia deputacyi polskiej wyraźnie zaznaczył, że „Galicya wschodnia z dawien dawna stanowi część jednej wielkiej Rusi", że na tych ziemiach „ludność rdzenna zawsze była ruską" i że wobec tego będzie on w tym kraju „wprowadzał język, prawo i rządy rosyjskie"...



Lwów w czasie inwazyi rosyjskiej: Groby żołnierzy rosyjskich pod Lwowem

Hr. Bobrinskij w swem przemówieniu bez żadnych obsłonek wyłuszczył cały swój program rusyfikacyjny, który zaczęto z wielkim pospiechem wprowadzać w życie.

Zaczęły się ciężkie dni dla Lwowa. Policya rosyjska dokonywała ciągłych aresztowań, a żołnierze dopuszczali się to tu, to tam rabunków i wykroczeń wobec ludności cywilnej. Sprowadzeni z Rosyi czynownicy rozpoczęli już swą pracę, mającą na celu wypełnienie programu rusyfikacyjnego, wyłuszczonego w przemówieniu hr. Bobrińskiego, to jest przeistoczenie Galicyi na kraj „rdzennie rosyjski".



Lwów w czasie inwazyi rosyjskiej: Milicyant miejski.

Ten pośpiech rusyfikacyjny był jakby podyktowany przeczuciem Rosyan, że prędko skończy się ich panowanie w Galicyi. Zanim też zdążyli urzeczywistnić swe plany, musieli uciekać przed zwycięskiemi armiami. Lwów, jak był, tak i pozostał miastem polskiem — placówką naszego narodowego życia na wschodzie. Pozostały tylko przykre wspomnienia minionej już na szczęście przeszłości, z której podajemy w dzisiejszym numerze szereg zdjęć, illustrujących pobyt nieproszonych gości we Lwowie.







Lwów w czasie inwazyi rosyjskiej:

Przejazd trenu rosyjskiego.

Zołnierze rosyjscy na targu.

Patrole rosyjskie na ulicach.

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

3

— I że nie chciała zamieszkać w pałacu! Aby być swobodniejszą zapewne! — zaśmiał się konwulsyjnie Henryk.

— Proszę cię, mój przyjacielu, uspokój się, cóż dziwnego, że ta mała...

— Panna Janina le Brenn — przerwał ostro młody hrabia.

— A więc panna Janina le Brenn, będąc tak młodą, pragnie zabawić się cokolwiek. I doprawdy, nie rozumiem, dlaczego tak interesujesz się jej zniknięciem, szczególniej teraz, gdy wkrótce masz zostać mężem uroczej panny de Bressien!

— Andrzeju, przestań! Wspomnienie tego związku doprowadza mnie do rozpaczy! Jesteś moim przyjacielem, nieprawdaż? Mogę liczyć na twoją dyskrecyę. Wiedz, że zgodziłem się jedynie dlatego, aby nazwisko Kermorów uchronić przed hańbą, jaka mu groziła! Oh! żeby nie matka moja! A teraz, teraz, ta niepewność, że ona, ta, którą w marzeniach moich do ideału doskonałości wynosiłem, nie jest może godną ani myśli mojej serdecznej. Andrzeju, ja oszaleję, jeżeli się nie przekonam naocznie. Mówiłeś mi, że w czasie mojej nieobecności zawiązała różne znajomości.

— Cóż z tego! Gdyby nawet panna Janina dała się porwać temu wirowi, który zazwyczaj pochłania młode i ładne, żądne zabawy dziewczęta, to tylko litować się nad nią należy! Ale dlaczego tak rozpaczać! Ty, hrabia de Kermor! Pomyśl o sobie, Henryku, błagam, zechciej zapomnieć o tej dziewczynie, która zapewne na chwilę nie pomyślała o tobie, która może warta nie jest jednego twojego spojrzenia. Bo pomyśl tylko, jak wytłumaczyć ucieczkę jej z pałacu i list pozostawiony markizie!

— Chcę wiedzieć prawdę — zawołał młody człowiek — to silniejsze od wszelkich rozumowań i odemnie!

— Chodź, zaprowadzę cię do miejsc, gdzie rozerwiesz się trochę i może zapomnisz.

— Delrue — odpowiedział zimno hrabia — pójdziesz ze mną na bal do Hal.

W kilka minut później Delrue i Henryk de Kermor zdążali powozem do rogatek; zatrzymali się w bocznej uliczce i wysiedli.

— Idźmy dalej pieszo — rzekł Henryk — to mnie uspokoi.

Doszli do domu oświetlonego wielkiemi lampami, pod którym krążyło kilku ajentów policyjnych w kapturach nasuniętych na oczy.

W sali panował gwar nie do opisania, zaduch i kurz. Wokoło okrągłych stolików, stojących rzędem pod ścianą, cisnął się rój gości w różnorodnych przebraniach. Orkiestra na estradzie grała jakąś szaloną galopadę.

— Z drogi, panowie! — zawołał jakiś ulicznik, skaczący na rękach w wielkich susach po sali.

Delrue z drżeniem rozpoznał w nim Tota, towarzysza Barykady. Olbrzym stał o kilka kroków z kuflem w ręce i przypatrywał się z zadowoleniem zabawie, wydając okrzyki i pomruki radości.

Henryk był jakby oszołomiony fantastycznym i dzikim wyglądem sali, widokiem jaskrawo ubranych kobiet, ich śmiechem zuchwałym i cynicznym, gwarem i chaosem ordynarnym, wybiegającym z każdego kąta.

Głęboki smutek objął go nagle i dziwne zniechęcenie na myśl, że tu, w tej okropnej norze rozpusty i zepsucia, mogła choć na chwilę jedną znaleźć się jego Janka, to czyste i łagodne dziecko. Lękał się, że lada chwila ujrzeć ją może, a wtedy na zawsze utracić będzie musiał wszelką nadzieję i wiarę.

Delrue, który stał za nim, drgnął nagle. Jakaś ręka ciężko spoczęła na jego ramieniu i głos jakiś przyciszony wymówił znacząco:

— Stanie się tej nocy. Barykada już idzie na posterunek. Pamiętaj, hotel Ambasadorów. Przygotuj pieniądze.

Andrzej Delrue zbladł silnie. Rozpoznał głos Kudłacza. A więc stało się! Janina le Brenn zginie za chwilę.

— Wyjdźmy stąd, wyjdźmy — wyszeptał nagle Henryk de Kermor — Duszę się!

— Chodźmy — odpowiedział niedbale Delrue — Niema jej tu, zdaje się, dzisiaj.

Henryk odetchnął głęboko, gdy znalazł się na ulicy. Był tak wzruszony, że wsparł się o mur domu i dyszał ciężko.

Bal już dobiegał do końca, bo wkrótce ruchomy potok głów ludzkich wylał się przez drzwi na ulicę, muzyka ucichła, światła pogasły, zamilkły nawoływania i turkot dorożek zamierał powoli w dali.

Ulica opustoszała zupełnie.

— Chodźmy — nalegał Delrue — narażamy się na niebezpieczeństwo, stojąc tutaj sami. Patrz, ajenci już odeszli.

Henryk poruszył się z trudem, lecz w tejże chwili krzyk rozpaczliwy przeszył powietrze. Przybiegł on z ulicy Entrepot, z za koszar, które tonęły w zupełnej ciemności.

— Słyszałeś, Andrzeju?

— To apasze! Chodźmy! Są uzbrojeni! Nie mieszajmy się lepiej do nich.

— Ależ to był krzyk kobiety!

— Co z tego! Mało ich się tu włóczy?! To nowy sposób przywabienia, nic więcej!

Ale znowu rozległ się krzyk drugi, tym razem nabrzmiały śmiertelną rozpaczą i przerażeniem.

— Biegnijmy, Andrzeju! — zawołał rozkazująco Henryk de Kermor, rzucając się naprzód, gotów stawić czoło największemu niebezpieczeństwu.

Delrue był wściekły, okropna myśl nagle zajaśniała mu w mózgu. Jeżeli to oni, jego wspólnicy! Ale nie! Tamto musiało już być załatwione, i nie tutaj przecież, tam, bliżej kanału.

Zmuszony jednak był pomimo woli iść za towarzyszem. Postanowił jednak trzymać się z daleka od terenu walki i dopiero w ostateczności bronić hrabiego, którego życie było mu jeszcze potrzebne do jego niecnych spekulacyi.

Henryk szybko dobiegł do ogrodzenia, skąd wybiegło rozpaczliwe wezwanie o ratunek i starał się zoryentować wśród ciemności. Nagle dostrzegł kilka cieni zbitych w jedno miejsce, jakby przyczajonych w oczekiwaniu. Musieli go dostrzedz. Henryk zacisnął silniej laskę w ręce, ukrył się za wystający złom zwalonego muru i czekał, nie czyniąc najmniejszego poruszenia.

Po chwili dał się słyszeć szept stłumiony:

— Poszedł?

— Niema go nigdzie! Dalej do roboty!

Myślano więc, że odszedł; przyczaił się jeszcze lepiej, gotów do skoku.

Cienie pod rumowiskiem poruszyły się, było ich trzy. Henryk dojrzał w mroku, rozjaśniającym się cokolwiek, blade ich twarze.

Były to trzy indywidua, wstrętne i obszarpane, podobne do tych ludzi, których niedawno widział na sali balowej w Halach.

Ludzie ci wlekli bezwładne ciało kobiece ku dołowi, znajdującemu się wśród rumowisk. Henryk wyskoczył z ukrycia.

— Hej! przyjaciele! — zabrzmiał ochrypły głos — Baczność! Ten ptaszek powrócił! Noże w pogotowiu! Ja się załatwię z małą! Hej, Kudłaczu, Toto!

Kudłacz z nożem w ręce znalazł się przy Henryku, ale już ciężka, okuta laska, z głuchym łoskotem uderzyła o jego głowę. Rozległ się krzyk i apasz z roztrzaskanym mózgiem leżał na ziemi.

— Już jeden! — szepnął Henryk de Kermor.

— Toto! dalej! Upuść mu trochę krwi! — ryczał Barykada z wściekłością, unosząc swoją omdlałą ofiarę.

Toto, ze zręcznością kota przyczaił się z nożem w ręce do skoku. Ale w tejże chwili dojrzał Andrzeja Delrue, który z ukrycia śledził rozpaczliwie przebieg walki.

— Pst! — zasyczał ulicznik — Jest jeszcze jeden! I z rewolwerem! Uwaga! sprawa się psuje! Mnie tu już niema!

W kilku susach przeskoczył mur i rowy i już biegł co tchu ku miastu.

Henryk pozostał teraz sam z apaszem.

— Zostaw tą kobietę, rozumiesz? — zawołał przybliżając się.

Barykada mruknął groźnie. Nagle porzucił na ziemię swój ciężar i zaśmiał się drwiąco.

— Masz słuszność, mój mały! Poczekaj!

Wsunął szybko rękę do kieszeni i wyciągnął z niej długi, błyszczący nóż.

— A teraz zmierzmy się, panie arystokrato! — zawołał zuchwale. — Ale co do tej dziewczyny, to jej nie dostaniesz, uspokój się. Po sam trzonek, rozumiesz, ty i ona!

Henryk de Kermor pogardliwie wzruszył ramionami.

— Zostaw tą kobietę — powtórzył spokojnie.

— Smiej się z tego! Pilnuj lepiej siebie, paniczyku! Zaraz się z tobą załatwię, bo to mnie już nudzić zaczyna...

Ostatnie słowa uwięzgły w gardle apasza, wrzasnął przeraźliwie, wypuszczając nóż z ręki. Po raz drugi laska, okręciwszy szalonego młynka, spadła tym razem na ramię nędznika, miażdżąc mu kości. Zanim mógł się opamiętać, Henryk rzucił się na niego, chwytając pod gardło. Apasz zachwiał się kilkakrotnie i runął na ziemię, uderzając głową o kamień chodnika.

Henryk już klęczał przy nieznajomej.

— Andrzeju! — zawołał, przypomniawszy sobie teraz dopiero przyjaciela — Gdzież jesteś, u dyabła! Biegnij natychmiast do miasta po pomoc. Ja pozostanę przy tej nieszczęśliwej!

Drżącemi rękami starał się odwinąć chustkę, którą była owinięta twarz kobiety. Delrue, jakby sparaliżowany stał w miejscu, pieniąc się ze wściekłości. On wiedział, przeczuwał, kim była nieznajoma. Ale nagle błysk nadziei zajaśniał w jego oczach. To, co ujrzał, sowicie wynagradzało go za te chwil kilka przeżytych w męce oczekiwania, bo podczas gdy hrabia de Kermor klęczał nad nieznajomą, apasz, którego upadek na kamienie oszołomił i pozbawił przytomności, ocknął się teraz z omdlenia i czołgając się z wysiłkiem po nóż leżący opodal, skierował się ostrożnie w stronę młodego człowieka.

Delrue ujrzał błysk noża w powietrzu, i Henryk z cichym jękiem zwalił się obok ciała bezwładnej kobiety.

Wysiłek ten widocznie wyczerpał resztę sił zbrodniarza, gdyż od tej chwili nie poruszył się już więcej.

Skurcz nerwowy wykrzywił twarz Andrzeja Delrue. Szczęście mu sprzyjało, bo to, czego nie mogli dokonać apasze, on sam, własną ręką dokona. Janina le Brenn jest tu! Leży bez czucia, zdana na jego łaskę. Nóż Barykady, ciepły jeszcze od krwi Henryka, posłuży mu do dokonania zbrodni.

Podniósł go z ziemi i pochylił się nad zemdloną, odchyla do reszty chustkę z twarzy. Tak! to ona! Był tego pewny. Ale w ostatecznej chwili zabrakło mu odwagi. Zimny pot wystąpił na czoło nędznika, a ręka trzymająca nóż bezwładnie opadła na ziemię. I nagle Delrue uczuł, że nie będzie w stanie tego uczynić, nie zdoła przezwyciężyć tego piekielnego strachu, który jak w kleszcze objął całą jego istotę.

Lecz nagle spostrzegł, że nieszczęśliwa dziewczyna oczy otworzyła i równocześnie przyszła Andrzejowi nowa myśl, nowy zamiar do głowy. Postanowił i tę sytuacyę, stosownie do siebie, wykorzystać. Pochylił się z udaną troskliwością nad dziewczyną.

— Panno Janino! To ja, Andrzej Delrue, niech się pani nie obawia.

Janka usiłowała się zerwać, lecz zdołała tylko unieść głowę.

— Pan? panie Delrue? — wyjąkała z przerażeniem. — Co pan tu robi? Co się stało?

— Nic groźnego! Przechodząc ulicą usłyszałem krzyk kobiecy, przybiegłem i rozpędziłem napastników pani, oto wszystko. Każdy na mojem miejscu byłby uczynił to samo! Czuję się tak szczęśliwym, że mogłem uratować panią!

Janka gorąco ściskała jego dłonie, zapominając mu nawet podziękować za obronę. Myślała tylko o tem, że Delrue teraz pójdzie za nią, odprowadzi do mieszkania i nowy jej adres zakomunikuje markizie.

— Panie Delrue! — wyszeptała błagalnie — mam prośbę do pana. Pozwól mi oddalić się samej. Nie idź za mną, nie staraj się dowiedzieć, gdzie mieszkam. Uczynisz mi tem wiekszą przysługę, niż uczyniłeś, ratując mi życie!

— Pragnienie pani jest dla mnie rozkazem. — odpowiedział Delrue, maskując uśmiech złośliwości — Proszę odejść spokojnie i liczyć na moją dyskrecyę.

— Oh! Dziękuję panu! Dziękuję z całego serca!

— Ale zdaje mi się, że pani jest jeszcze silnie osłabiona?

— To nic! — zawołała Janka z radością. — Czuję się dość silną, aby powrócić do siebie. A nie lękam się niczego, czując pana w pobliżu!

Podniosła się dosyć łatwo przy pomocy Andrzeja i po chwili zniknęła na zakręcie ulicy.

Podczas tej rozmowy coś poruszyło się pomiędzy ciałami, leżącemi na ziemi.

Był to Barykada. Uniósł się na łokciu i z radością poczuł, że oprócz zranionej ręki nic więcej mu nie dolega. Wkrótce świeże powietrze nocy orzeźwiło go zupełnie.

Po odejściu Janiny skorzystał z oddalenia się Andrzeja Delrue i powstał. Potarł silnie ręką stłuczoną głowę i uśmiechnął się zwycięzko.

— Na ten raz szczęście mi posłużyło — szepnął z ulgą. — Ale teraz trzeba zmykać, ajenci mogą nadejść. Pochylił się nad towarzyszem, nie dającym żadnych oznak życia.

— Biedny Kudłaczu! Dali ci radę! Ale poczekaj,

zemszczę się w swoim czasie za ciebie. Ale teraz nie pozostawię cię tu, biedaku, to nie byłoby bezpiecznie. Dalej w drogę. Podniósł apasza lewą ręką i zarzucił przez ramię.

— Mała uciekła, ale ja ją jeszcze dogonię. A ten — dodał, spoglądając na Henryka de Kermor — dostał to, co mu się należało.

Pochylony cokolwiek pod ciężarem Barykada, wielkimi krokami zwrócił się w stronę kanału.

Delrue zdaleka przypatrywał się tej scenie. Gdy Barykada zniknął, zbliżył się do leżącego towarzysza, szybko rozpiął jego ubranie i obejrzał ranę.

— Wygrałem sprawę — wyrzekł zadowolony. — Nic mu nie będzie! Za osiem dni najdalej będzie zdrów zupełnie! On nie powinien teraz umrzeć. Byłbym już niepotrzebnym intruzem w pałacu barona le Bressien, a ja swoje pół miliona uzyskać muszę, choćby mi dyabeł sam chciał wejść w drogę.

Mówiąc to, Delrue wyciągnął rewolwer i kilkakrotnie wystrzelił w powietrze, wołając donośnie:

— Na pomoc! Na pomoc! Ratunku!

Jakieś okna otworzyły się z trzaskiem, a w głębi ulicy ukazały się cienie. Ludzie przybiegali.

Huk wystrzału zbudził Henryka z omdlenia.

— A ta młoda dziewczyna? — wyszeptał, otwierając oczy. — Uratowana?

— Nędznica jakaś — odparł Delrue. — Ostrzegałem cię, uciekła z jednym z tych bandytów.

— Zdawało mi się, że słyszałem strzały?

— Tak. Rozpędziłem rewolwerem tę bandę.

— Mój dzielny Andrzeju, obroniłeś mnie! Ale cóż to mi jest? Czuję zawrót głowy i podnieść się nie mogę. Pomóż mi, Delrue.

— Pchnięto cię nożem w plecy. Ale spokoju, mój drogi! Właśnie nadbiega pomoc! Przewieziemy cię zaraz do domu.

Przeszłość Andrzeja Delrue.

Andrzej Delrue nie znał nigdy matki swojej. Ojciec jego, skromny rolnik, dokładał wszelkich starań, aby mógł on ukończyć liceum w Bennes, gdzie Andrzej poznał młodego hrabiego de Kermor i zbliżył się do niego, pociągnięty jego nazwiskiem i majątkiem. Razem odbyta służba wojskowa złączyła ich jeszcze silniej, ale następnie stracili się z oczu na czas pewien.

Ojciec Andrzeja był ambitnym człowiekiem, dorobiwszy się niewielkiego majątku ciężką pracą i oszczczędnością, chciał, aby syn jego, na którego wykształcenie łożył w pocie czoła zdobyte pieniądze, wynagrodził mu to w przyszłości i wprowadził w towarzystwo, do którego dotąd, jako prosty i nieokrzesany chłop, nie miał dostępu.

— No, a co teraz zamierzasz czynić? — zapytał, kiedy Andrzej po odbytej służbie powrócił do domu.

— Oh! Niech tylko dostanę się do Paryża — odpowiedział tenże z pewnością siebie — a już potrafię wypłynąć na wierzch.

I na to „wypłynięcie" stary Delrue musiał jeszcze z bólem serca oddać część swoich oszczędności.

Andrzej postanowił ukończyć kursa prawnicze, gdyż pewnym był, że przy swoim sprycie i inteligencyi wrodzonej wkrótce stanie się sławnym i poszukiwanym adwokatem. Ale Andrzej, dostawszy się do dzielnicy łacińskiej i poczuwszy w kieszeni portfel dobrze wypchany, zaczął zaraz w pierwszych miesiącach opuszczać wykłady i wkrótce przerzucił się na medycynę. Napisał tryumfalny list do ojca, w którym zapewnił go, że teraz dopiero na właściwą drogę wstąpił i potrzebował pieniędzy. Będzie to jego ostatnia ofiara, gdyż niedługo z wszelką pewnością zwróci w trójnasób ojcu pieniądze, wyłożone na jego naukę.

Ojcu Delrue nie podobała się ta zmiana, co adwokat, to nie doktór, gdy tamten zarabia sto franków, ten zaledwie pięć lub wcale nic.

Pieniądze posłał, ale przez znajomego kazał śledzić zachowanie się syna w Paryżu. I dowiedział się stary ładnych rzeczy! W jednej chwili runęły, jak domek z kart, wszystkie jego ambitne rojenia i plany przyszłości. Andrzej, jego syn ukochany, jedynak, jedyna podpora starości, porzucił zupełnie naukę i wszelkie studya, oddając się najniższej rozpuście i szerokiemu życiu. Widywano go tylko w kawiarniach i norach najgorszej reputacyi, z ludźmi podejrzanej wartości, za których pieniądze, gdy zabrakło mu swoich, pił i bawił się w najlepsze.

Delrue odmówił dalszych zasiłków pieniężnych, a wtedy Andrzej, mszcząc się na ojcu, pozaciągał na wszystkie strony długi na rachunek jego. Długów tych jednak dotknięty i zawiedziony w swych nadziejach stary Delrue zapłacić nie chciał. Ale gdy lekkomyślność Andrzeja gorsze przybrała rozmiary, kiedy ukazały się w obiegu weksle z fałszowanym podpisem starego, tenże zmuszony był wyzbyć się całego swojego mienia i sprawę załagodzić. W kilka dni później, nie mogąc przeboleć tej straty i zawodu, stary Delrue powiesił się w własnej stodole. Od tego czasu Andrzej zaczął się staczać coraz niżej. Wszedł w towarzystwo najnikczemniejszych indywiduów przedmiejskich, nauczył się ich żargonu, zwyczajów i sposobu do życia, nie sięgając jednak jeszcze do zbrodni.

Pewnego dnia, a znajdował się wówczas w okresie najgorszej nędzy i poniżenia, Delrue stał przed jedną z najbardziej uczęszczanych kawiarń, trzęsąc się z zimna pod wytartym surdutem. Już od jakiegoś czasu zarabiał na nędzny nocleg w Halach i miskę gorącej zupy otwieraniem drzwiczek u powozów, zatrzymujących się przed większymi lokalami i restauracyami.

I teraz podskoczył skwapliwie, lękając się, że zręczniejszy jaki ulicznik ubiegnie go w zarobku, ku wspaniałemu ekwipażowi, zatrzymującemu się przy chodniku.

— A! to pan, panie Delrue — rzekł człowiek, wysiadający z powozu — Jakto? Pan, chłopak inteligentny, z tak wyrobionem pismem? Oh! szkoda! Sądziłem, że zajdziesz dalej, bo zapowiadałeś się wcale nieźle.

Płomienna łuna pokryła twarz Andzeja, ustępując śmiertelnej bladości.

Poznał człowieka mówiącego do niego, a równocześnie przypomniał sobie o pewnym fakcie. Kilka tygodni temu stawił się w pewnym kantorze, trudniącym się interesami wszelkiego rodzaju i podał przez okienko kartkę zastawniczą, opiewającą na pierścionek wartości dziesięciu franków. Tylko, że do tej sumy zręcznie dopisane było zero.

Lichwiarz, mały człowieczek o bystrem spojrzeniu, wziął kartkę i długo przypatrywał jej się przez założone okulary. Po chwili włożył kartkę do kieszeni i rzekł, uśmiechając się uprzejmie:

— Nie mogę tego kupić, mój przyjacielu, bo ta kartka nic już nie warta!

Andrzej Delrue jednym skokiem znalazł się przy wyjściu, nie żądając żadnych tłumaczeń.

I oto teraz stał z kapeluszem w ręce przed tym samym człowiekiem, przypatrującym mu się badawczo i ciekawie. Delrue uczuł nagłe przerażenie. Jeżeli lichwiarz zawezwie ajentów, stojących opodal i odda go w ich ręce? Do tej pory szczęśliwym trafem zdołał uniknąć zatargów z policyą i salą sądową, ale sfałszowanie kartki w celu kradzieży jest sprawą, która może go dalej zaprowadzić, niżby tego pragnął w danej chwili.

— Mój biedny przyjacielu — odezwał się nareszcie lichwiarz dobrotliwie — powiedz mi, jakim sposobem zaszedłeś tak nizko?

Słowa uspokoiły Andrzeja. Odetchnął swobodnie; człowiek ten widocznie nie miał względem niego złych zamiarów.

— Ale poczekaj, lepiej będzie, gdy odwiedzisz mnie jutro, naturalnie bez żadnych obaw, w ajencyi mojej „Collin-Megret", ulica św. Łazarza. Zgoda? Andrzej skłonił się nizko i odszedł.

Nazajutrz stawił się punktualnie w ajencyi lichwiarza. Dom był ten sam, lecz odnowiony i odświeżony.

Pan Collin-Megret przyjął go w gabinecie swoim, na którego drzwiach wisiał olbrzymi plakat z napisem: „Przewodnik światowy" przyjmuje zastawy, kupuje i wysprzedaje urządzenia biurowe i domowe, daje pożyczki na sukcesye, porady adwokackie, pośredniczy w małżeństwach i t. d.

— Mówmy mało, ale mówmy dobrze — rzekł właściciel biura, wskazując Andrzejowi krzesło obok siebie. — Przedewszystkiem powiedz mi pan swoje nazwisko i oddaj papiery, stwierdzające tożsamość osoby... Bardzo ładnie... Delrue, tak, wiedziałem o tem, student prawa, wyśmienicie!... i medycyny, jeszcze lepiej! To przydać się może!

No i tak, na ulicy, bez zajęcia, bez dachu nad głową? Było się trochę lekkomyślnym, nieprawdaż? Ah! ta młodość! ta młodość! Lichwiarz rozparł się wygodnie w fotelu i po chwili wymówił spokojnie:

— Panie Andrzeju Delrue, cóż powiesz, jeżeli zaproponuję ci u siebie miejsce pierwszego sekretarza, ubiorę, jak lalkę, i dodam sto franków miesięcznego honoraryum? Tak, na razie sto franków i ładne nadzieje na przyszłość.

— Ah! panie, jeżeli to prawda, ratujesz mi życie! — zawołał Delrue z wdzięcznością, nie pytając się nawet, jakiej pracy i czego żądać będzie wzamian ten niespodziewany jego wybawca!

— Jeżeli to prawda! — oburzył się pan Collin-Megret. — Ty śmiesz, młodzieńcze, wątpić o mnie? Widocznie nie zdajesz sobie najmniejszej sprawy, czem jest wspaniałe moje przedsiębiorstwo i jego naczelny kierownik! Ale przebaczam ci to! Masz tu, młodzieńcze, sto franków i podpisz się z odbioru na tej ćwiartce, bo choć ufam ci, jednak interes interesem.

Delrue podał mu kawałek papieru, nie podejrzywając żadnego podstępu. Collin-Megret wyciągnął rękę po kwit z pewną żywością.

— Doskonale! Doskonale! Co za ładne pismo! A teraz, mój kochany, wiedz o tem, że nie należy dawać swego podpisu, nie przekonawszy się wpierw, co się podpisuje. No, naturalnie, ze mną nie potrzebujesz się niczego obawiać, nie mam wcale ochoty posłać cię do więzienia. Ale wiesz, co podpisałeś, mój przyjacielu? Ni mniej, ni więcej, tylko wyrok na własną osobę! No, no, spokojnie, nie lubię ludzi nerwowych. Swistek ten świadczy, że sprzedałeś mi w tej chwili kartkę zastawniczą z Towarzystwa dobroczynności, zapewne pamiętasz którą? A teraz dziękuję ci, mój kochany — mówiąc to pan Collin-Megret wyjął powoli z portfelu wzmiankowany cyrograf, przypiął do niego kwit, podpisany świeżo przez Andrzeja Delrue i uśmiechnął się tryumfująco.

Krew uderzyła do głowy młodemu człowiekowi. W pierwszej chwili chciał się rzucić na nędznika, korzystającego z jego łatwowierności, wyrwać mu kompromitujący dowód, lub zdusić i postawić wszystko na ostatnią kartę, ale tchórzliwa i wyrachowana natura wzięła górę. Zresztą pan Collin-Megret, wyczuwając stan przeciwnika, jakby od niechcenia bawić się zaczął niewielkim rewolwerem, wyjętym ostrożnie z kieszeni.

— Wierz mi Delrue — odezwał się po chwili swobodnie — niema złego, coby na dobre nie wyszło. Gdybym nie był w posiadaniu tych świstków, czy byłbyś dzisiaj moim sekretarzem? Zastanów się tylko, dlaczegóż ciebie wybrałem? Potrzebny mi był człowiek inteligentny i... niezdolny do zdradzenia mnie w danym momencie. Zdaje mi się, że trafiłem dobrze, czy rozumiesz mnie, Delrue?

— Rozumiem — odpowiedział Andrzej przez zaciśnięte zęby.

Lichwiarz powstał i dobrodusznie poklepał go po ramieniu.

— Przekonasz się, mój przyjacielu, że porozumiemy się doskonale. A teraz przystąpmy do naszych interesów.

W krótkich słowach pan Collin Megret wtajemniczył Andrzeja w całą akcyę biurową, łatwiejszą do zrozumienia, niż do opisania. Delrue zrezygnowany podchwytywał w locie myśli pryncypała, oryentując się szybko w najzawilszych sytuacyach.

— Mam co prawda kilku urzędników — rzekł z zadowoleniem pan Collin Megret — ale nie mogę porównać ich z tobą. Gdybym chciał sam zająć się wszystkiem, musiałbym cały dzień siedzieć w tej budzie, a w panu widzę dzielnego pomocnika, młodego, mającego zdrowe płuca i nogi.

— Moje są do pana dyspozycyi.

— Bardzo mnie to cieszy. Nie zauważyłeś może wczoraj, że wchodziłem do tej restauracyi w towarzystwie cudzoziemca? Czy myślisz, że szedłem tam dla przyjemności?

— Domyślam się. Byłeś pan jego przewodnikiem po Paryżu i wskazywałeś mu najciekawsze miejsca. To wydatna praca!

— Tak jest! ale naraża się często w niej zdrowie i wyzyskuje wiele.

— Tę pracę przeznaczyłeś pan dla mnie?

— Tak jest, Delrue. Bo jesteś młody i silny. Zabawisz się przytem dobrze. Ja już nie mogę, zjadłem zdrowie w takich przymusowych zabawach. A zresztą muszę się teraz oddać wyłącznie wydawnictwu, w którem wiele nadziei pokładam. Jest niem „Przewodnik światowy". Pan Collin-Megret podał Andrzejowi ładnie oprawny tomik, zawierający illustracye i widoki Paryża, którym towarzyszyła szumna i przekonywająca reklama. Ale, żeby oddać się z całym spokojem i ufnością zwiedzaniu wskazanych miejsc, „Przewodnik" zachęcał uprzejmie, by zwrócić się do wytwornego przedstawiciela tego wydawnictwa, który wyręczał klientów swoich w sprawach finansowych.

Delrue coraz lepiej rozumiał. Należało rozrzucić tę książkę wszędzie, gdzieby się tylko dało, po hotelach, dworcach, miejscach zabawy, łowić bogatych cudzoziemców i przejezdnych, umieć wyczuć ich słabą stronę i nakłonić do rozrzutności, wzbudzając równocześnie dyskretnie zaufanie.

— Delrue, zobaczysz mnie przy robocie, a potem sam na własną rękę działać zaczniesz! Najgłówniejszą rzeczą jest uchwycić klienta i nie dać mu się wymknąć z ręki i nie pozwolić mu się dawać wyzyskać...

— Przez drugich!

Collin-Megret uśmiechnął się pobłażliwie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Smierć na polu chwały.

Z Otynii nadeszła żałobna wieść, iż w dniu 9 czerwca w walce pod Grabiczem (koło Ottynii) zginął bohaterską śmiercią porucznik 13 pułku piechoty, dr. Zygmunt Zieleniewski, na czele swej kompanii, którą do szturmu prowadził.



Smierć na polu chwały: S. p. dr. Zygmunt Zieleniewski, porucznik 13 p. p.

W ś. p. Zygmuncie Zieleniewskim utraciło społeczeństwo wielce utalentowanego i obiecującego młodego pracownika. Dziecko Krakowa, syn znanego przemysłowca Leona Zieleniewskiego, wiceprezesa towarzystwa akcyjnego fabryk maszyn i wagonów w Krakowie, w Sanoku i we Lwowie i brata posła, ś. p. Zygmunt Zieleniewski (urodzony w roku 1887) poświęcił się studyom prawniczym, po których ukończeniu z tytułem doktora praw dopełnił fachowego wykształcenia w wiedeńskiej akademii handlowej, poczem wstąpił do biura komercyalnego fabryki we Lwowie, gdzie uśmiechała mu się najpiękniejsza przyszłość.

Wojna oderwała go od zawodowej pracy. W szeregach 13 p. p. dr. Zygmunt Zieleniewski uczestniczył od początku wojny w całej kampanii, walczył we wrześniu ub. r. we Wschodniej Galicyi, przeszedł potem z cofającą się armią do Królestwa i przez dłuższy czas pełnił służbę w rowach strzeleckich nad Nidą. Przez cały ciąg jedenastomiesięcznej kampanii zaledwie kilka dni urlopu poświęcił wypoczynkowi w Krakowie, poczem powrócił znów na front bojowy. Wiosna ujrzała go w Karpatach, wreszcie nowa, ku Lwowu zmierzająca ofenzywa rzuciła go w wir najkrwawszych walk. Prowadząc pod Grabiczem swoją kompanię z okopów do szturmu na pozycye rosyjskie, padł od kuli nieprzyjacielskiej w dniu 9 czerwca o trzydzieści kroków przed rosyjskim rowem strzelniczym. Gdy po dziesięciu minutach podjęto nowy atak, znaleziono już martwe zwłoki porucznika. Towarzysze broni unieśli je z pobojowiska i złożyli na wieczny spoczynek na cmentarzu w Ottynii.

S. p. Zygmunt Zieleniewski dla zalet umysłu i serca, dla swego temperamentu ochoczego i pogody ducha zażywał w gronie swych kolegów uniwersyteckich i towarzyszy broni powszechnej sympatyi, a żołnierze przepadali wprost za swym oficerem, który odwagą swoją i niewyczerpanym humorem dodawał im ducha i zawsze im okazywał wiele ludzkości. Smierć jego żałobnem echem odbiła się w Krakowie — a powszechne współczucie towarzyszy boleści strapionych sędziwych rodziców, związanych węzłami pokrewieństwa i powinowactwa z tyloma rodzinami obywatelskiemi w mieście.

Z zajętego terenu Królestwa Polskiego.

W obecnej ofenzywie w Królestwie Polskiem wojska austro-węgierskie zajęły znowu Sandomierz, jedno z najstarszych miast polskich, które, jak w dawnych dziejach, tak i w obecnej wojnie przechodzi bardzo zmienne koleje.

Sandomierz, miasto powiatowe w Radomskiem, nad Wisłą położne, istniał jeszcze prawdopodobnie w przedchrześcijańskich czasach Polski. Spalony i zburzony kilkakrotnie przez Tatarów w połowie XIII wieku, upadł zupełnie i dopiero za Leszka Czarnego przeniesiony na warowniejsze miejsce, podniósł się na nowo i mógł się skutecznie opierać napadom Tatarów.

Kazimierz Wielki wzmocnił zamek sandomierski, opasał miasto murem i basztami. W roku 1428 Jagiełło odbierał w Sandomierzu hołd od Ziemowita, Kazimierza i Bolesława, książąt mazowieckich.

W połowie XVII wieku spadły na Sandomierz ciężkie klęski. Szwedzi, uciekając przed nacierającymi Polakami, wysadzili w powietrze zamek, zburzyli część miasta, przyczem 2.000 mieszkańców straciło życie.



Lwów w czasie inwazyi rosyjskiej: Kozacy patrolują.

W roku 1772 Sandomierz dostał się pod panowanie Austryi, a w roku 1809 przeszedł straszną burzę wojenną. Wojska austryackie, znajdujące się w oszańcowanem mieście, musiały w dniu 13 maja kapitulować, ale niezadługo później, bo w dniu 14 czerwca zmusiły jenerała Sokolnickiego po straszliwym szturmie do ustąpienia z Sandomierza, przyczem miasto zostało zbombardowane.

Pomimo takich przejść, Sandomierz jeszcze dzisiaj przedstawia się okazale i zachował liczne ślady dawnej swej wielkości i ciekawe zabytki średniowiecznego budownictwa. Z tego historycznego miasta, które dziś znów znalazło się w ogniu walki, zamieszczamy szereg illustracyi.



Po wyparciu nieprzyjaciela: Zwłoki poległych Rosyan na pobojowisku pod Gródkiem.

Kronika tygodniowa.

Rok 1915 jest rokiem niezwykłym, uroczyściej też, niż po inne lata, obchodziłem imieniny mojej poczciwej Weronisi, przypadające na dzioń 9. lipca. Miałem zaś do tego ważny powód, jako iż człek rodzaju męskiego nie jest nigdy pewnym, czy go nie powołają do landszturmu, czego następstwem mogłoby być wysłanie na linię bojową, a tam kule nie przebierają, kto więc zaręczy, czy na rok przyszły będę mógł mej starej w tym dniu osobiście pogratulować.

Jestem wprawdzie nieco podeszły w leciech, ale i takich w armii potrzeba, może się więc bardzo łatwo przydarzyć, że kronikarskie pióro lada dzień zmienię na karabin, ewentualnie na miotłę lub kozik do obierania ziemniaków (tak zwany *Landsturm ohne Waffen!*).

Już w przeddzień uroczystości postarałem się o podwójną tęczę na niebie, wieczorem zaś wziąłem udział w zwykłej akademii, naturalnie „pod Obrazem“, po ukończeniu której wentylowaliśmy bieżącą politykę, każdy, rzecz prosta, z innej platformy na nią się zapatrując, nic też dziwnego, że ani się spostrzegliśmy, jak zegar na wieży ratuszowej wydzwonił godzinę jedenastą. Jest to dla Krakowa *„hora canonica“*, na rozkaz bowiem władzy wysychają o tej porze zdroje krakowskiego, okocimskiego, żywieckiego i pilzneńskiego nektaru, zamykają się też podwoje wszelakich lokali. Ze zaś pod gołem niebem i o suchem gardle nikt dysputować w Krakowie nie lubi, bez rozkazu wyższego rozeszliśmy się w spokoju, każdy w swoją stronę, nie czekając nawet na tramwaj, który rozpoczyna kursować dopiero o godzinie szóstej rano.

W domu wyjątkowo awantury z tego powodu nie miałem, jutrzejsza bowiem solenizantka spoczywała spokojnie w objęciach Morfeusza i musiała śnić coś bardzo przyjemnego, gdyż gadała ciągle przez sen. Taka to już jest babska natura, że żadnej ani w dzień, ani w nocy gęba się nie zamyka, a choć ciągiem nią rusza, nigdy jej zawiasy szczękowe nie zabolą, aczkolwiek się ich wcale nie smaruje.

I ja miałem tej nocy sny bardzo przyjemne, zdawało mi się, że jestem jeszcze kawalerem, że staram się o piękną Weronisię i dostaję od niej kosza, a od jej ojca nogą niżej pleców na pożegnanie.

Ale, że to sen mara, a Bóg wiara, obudziwszy się rano, przekonałem się, iż tak nie jest, jak mi się w nocy po głowie roiło. Zbudziły mnie zaś tony muzyki, poprzedniego bowiem dnia zamówiłem całą gromadę mlaskotów ze Zwierzyńca, którzy z prawdziwą maestryą urznęli wspaniałą serenadę, że aż koty miauczały na dachu i psy wyły na całej ulicy.

Wobec tego trzeba było wstać. Daliśmy sobie buzi (nie z mlaskotami, ale ja i Weronisia), przyczem złożyłem solenizantce z serca płynące życzenia i to w tak czułych wyrazach, że poczciwa babina aż się spłakała i ze wzruszenia zapomniała dać grajkom na piwo, z czego oni byli ogromnie niezadowoleni.

Zakończyłem gratulacye znanym wierszem jednego z naszych znakomitych poetów:

Hej! Skąd dążysz,
Dokąd dążysz,
Chyba cały świat okrążysz,
Nie znajdziesz, aby się
Gdzie kochali się,
Jak my się!

Jeszcze raz buzi, poczem wręczyłem jej parę pantofli, które wziąłem na kredyt u znajomego kupca.

— Darujesz, kochanie — zakończyłem — że prezent tak skromny, aczkolwiek bardzo praktyczny, sama jednak wiesz, iż teraz ciężkie czasy i trudno bardzo związać koniec z końcem...

— Oj, to prawda! — westchnęła, zawiązując tasiemkę swej szaty porannej, trzeba zaś wiedzieć, że matka natura obdarzyła ją bardzo bujnymi wdziękami.

Kto tam potem winszował, nie wiem, w każdym razie domyślam się, że w pierwszej linii córki, potem służąca Kasia, życząca „fortony i korony niebieskiej“, zjawiła się także i stróżka, ale nie z gratulacyami, lecz upominając się, iż wczoraj, wracając późno do domu, zapewne przez pomyłkę, zamiast niklowej pięciocentówki, dałem jej blaszany guzik. Przekonywałem ją, że się myli, nie chciała ustąpić. Ostatecznie guzik jej zostawiłem, obiecując, że zato drugim razem otrzyma całą szóstkę...

Ponieważ uroczystość świętej Weroniki, (jeśli się nie mylę, panny) przypadła na piątek, więc na dzień podwójnego postu, wyżerka w domu nie była wcale lepszą, niż zazwyczaj, wobec czego trzeba było pójść do miasta, by cośkolwiek przetrącić.

Ale tu czekała człowieka nowa nieprzyjemność. Staję przy bufecie i proszę o kielich gorzały, pan Focking rusza ramionami i powiada:

— Nie wolno!

— Jakto nie wolno? — wołam z wściekłością — odkądże to zakazali pić wódkę?

— Nie, nie zakazali, ale trzeba siedzieć!

— Gdzie? Może w kryminale?

— Nie! Wystarczy na sali, przy stoliku! Pan dobrodziej zamówi sobie coś ciepłego do zjedzenia, to poda się i wódeczkę! Taki befel wyszedł z magistratu. O, wisi tam na szafie!

Z początku jakoś mi się to w głowie nie chciało pomieścić, dlaczego wydano właściwie takie zarządzenie, ponieważ jednak jestem zawsze posłuszny rozkazom zwierzchności bez względu na to, czy ona jest duchowną, czy świecką, siadłem, aczkolwiek wódeczność pijał człowiek zawsze na stojąco, bo to lepiej smakuje i alkohol wówczas idzie raczej w nogi, a nie do głowy.

Zrobiono więc przewrót w życiu codziennem przeciętnego, poczciwego człowieka. Kupcy zaklinają się, że przestrzegać będą postanowień i, jeśli władza zakaże, gotowi nawet przestać wódkę szynkować.

I kto wie, czy nie nastaną dla nas takie paskudne czasy, że wódeczność będzie można dostać tylko w aptece, jako lekarstwo. Tak dzieje się podobno w którymś ze stanów Ameryki północnej, jeśli się nie mylę w Teksas, a może i gdzieindziej. Ponieważ zaś alkohol jest bardzo dobrem antidotum przeciw ukąszeniu grzechotnika, każdy z tamtejszych amatorów wódeczności musi się dać najpierw ugryźć temu gadowi, a potem może już spokojnie upominać się o kieliszek whisky. Przemyślny aptekarz hoduje w tym celu specyalnie grzechotniki i ma każdej chwili pod ręką kilka oswojonych okazów, które wypożycza interesantom za niewielką opłatą. Przynosi mu to podobno bardzo piękne dochody.

Jeśliby i u nas miały nastać takie same stosunki, wartoby już dziś postarać się o parę grzechotników, zamówień na nie chyba nie braknie, wątpię nawet, czy po jednym wystarczy dla każdego z większych naszych lokali śniadankowych.

Wyobrażam sobie, jak to malowniczo wyglądałaby następująca scena:

Sala. Na sali, przy stoliku siedzi gość i woła:

— Mieciu! Proszę kieliszek starki!

— A czy pana dobrodzieja ukąsił grzechotnik?

— Nie!

— W takim razie nie mogę podać. Według rozporządzenia magistratu możemy sprzedawać wódkę tylko osobom, ugryzionym przez grzechotnika...

— To przynieś grzechotnika! Niech mnie ugryzie!

— Bardzo żałuję, ale nie mogę służyć. Wczoraj pożyczył sobie pan radca i jeszcze go nie odesłał!...

Wartoby się także zastanowić nad tem, czy w danym wypadku, gdyby grzechotnika pod ręką nie było, nie mogła go n. p. zastąpić teściowa, która także nieraz jest bardzo jadowitą.

Ograniczono więc picie wódki, pozwolono natomiast pić wodę przez cały dzień, to jest od szóstej rano aż do dziewiątej wieczór, poczem każdy ma mieć przez całą noc szczelnie zakręcony kurek wodociągowy, w przeciwnym razie narażony byłby na odpowiedzialność i dotkliwą karę.

Ponieważ woda jest teraz takim drogocennym płynem, wodą, a nie szampanem wychyliłem zdrowie Weronisi solenizantki, która dzięki mnie stała się osobistością w Krakowie bardzo popularną. Wystarczy powiedzieć, że *ex re* jej imienin z różnych stron na me ręce nadeszły dla niej życzenia, gratulowali demokraci i stańczycy, brodaci i bez bród, łysi i owłosieni — słowem w mem domowem święcie wziął udział pośrednio cały Kraków.

Wobec tego nosiłem się też z myślą, czyby na jej cześć nie urządzić dnia kwiatka, niestety, przekonałem się, że wszystkie niedziele i święta, aż do końca roku są już zajęte, a w dni powszednie naród pieniędzy przy sobie nie nosi.

Zresztą imieniny przeszły spokojnie, dlatego też nie będę składał dokładniejszego sprawozdania z ich przebiegu. Każdy z Czytelników, mający żonę, ma tę przyjemność także raz w roku, chyba, że żonie na imię Marya, gdyż w tym wypadku może imieninować bodaj ze dwa razy na miesiąc. Jest to dobre, ale tylko wtedy, gdy czasy są lepsze, a nie tak paskudne, jak obecnie. Wystarczy powiedzieć, że dziś za cytrynę trzeba płacić po piętnaście centów, więc lada kto nie może sobie pozwolić na *katzenjammer*, na który działa bardzo dobrze lemoniada.

Na dzień 10 lipca przypada uroczystość siedmiu Braci Śpiących. Są to patronowie naszej sławetnej Rady miejskiej, której członkowie schodzą się do sali obrad w pałacu Wielopolskich na poobiednią drzemkę. Niestety, Rada miejska nie funkcyonuje, wobec czego i solenizanci tego roku święta patronalnego nie obchodzili.

Tyle, co do spraw moich domowych, o których lubię świat informować. Teraz wypada zahaczyć nieco o politykę, zwłaszcza, że zabieram się do tego od dłuższego już czasu, zawsze jednak brakuje mi miejsca, bym się mógł należycie wywnętrzyć.

Sympatyą moją cieszy się w pierwszej linii król włoski, który może sobie (a nawet musi) śpiewać historyczną aryę: „Jam małżonek Heleny!...“, ale na taką nutę, jak ona mu zagra, a jest to niewiasta tak energiczna, że moja Weronisia może się schować przed nią w mysią dziurę. Kazała wojnę wypowiedzieć, mąż był posłuszny, kazała mu jechać na front, i to zrobił, teraz każe zwyciężać, ale tego on już nie potrafi... Powiada: „Nie da rady“.

Nawet d'Annunzio nie mógł go do tego zapalić, choć podobno napisał taką samą „Mobilizacyę w Bronowicach“ jak ongiś nasz pan Bieder. Król się zawziął i ani rusz dać się przekonać, wobec czego ma dwie wojny, to jest jedną z Austryą, a drugą ze swą rodzoną żoną. Z tego widzą Szanowni Czytelnicy, że i królowie, aczkolwiek boscy pomazańcy, mają też nieraz domowe kłopoty, nie powinno się im więc nigdy zazdrościć.

Z nieprzyjacielem zewnętrznym łatwiej zaś dać sobie radę, bo się posyła wojsko, a samemu odbiera się tylko sprawozdanie, wojna domowa wymaga zaś osobistego udziału, co nie zawsze jest bardzo przyjemnem.

Czytając wiadomość, że równocześnie i rzeczpospolita San Marino wypowiedziała Austryi wojnę, omal, że nie pęknąłem ze śmiechu, przyznając zupełną słuszność tytułowi, jakim opatrzono ten telegram. Odnosił się on do owej żaby, która też nogę do kucia podnosiła. Czytelnicy znają chyba na tyle geografię, iż wiedzą, że jest to państewko, które ze względu na obszar trudno nawet znaleźć na mapie. Rozporządza ono siłą zbrojną w liczbie dziewięciuset pięćdziesięciu chłopa z trzydziestu dziewięciu oficerami. Z tego kontyngentu uchwalono posłać Włochom na pomoc dwieście sztuk wyborowych, resztę przezornie zatrzymano, by nie być bez obrony, gdyby politycy z San Marino zapłatali się w wojnę z jakiem innem mocarstwem.

Po ukończeniu wojny, o ile panowie konsulowie wojowniczej republiki będą dopuszczeni do wzięcia osobistego udziału w pokojowych pertraktacyach, które odbędą się w jednej ze stolic europejskich, mogą potem zrobić doskonały interes i pokazywać się publiczności za opłatą wstępu w jakiem muzeum osobliwości.

Z racyi wybuchu wojny między Włochami i Austryą opowiadają sobie bardzo ciekawą polityczną anekdotę, mającą wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

Jeden z europejskich władców, rozmawiając z ambasadorem włoskim, akredytowanym przy jego dworze, miał się wyrazić mniej więcej w te słowa:

— Hm! Ja byłbym zdania, że rząd pański, ekscellencyo, powinien się zgodzić na warunki, jakie wam daje Austrya! Bez wyciągania miecza z pochwy zyskacie, czego pragniecie, a trzeba pamiętać, iż wynik wojny bywa często wątpliwy!...

— Nie, najjaśniejszy panie, to dla nas zbyt mało! My chcemy jeszcze więcej, a to już obiecało nam trójporozumienie...

— Tak! Skórę na baranie, gdy ten baran jeszcze żywy i skubie najspokojniej trawę... A ja wam mówię! Chcieliśmy wam wyprostować cholewę buta (półwysep włoski ma, jak wiadomo, taki kształt), skoro się na to nie zgadzacie, uważajcie dobrze, gdyż może wam z niego zostać tylko sama przyszwa, a resztę dyabli wezmą...

Oby te słowa ostatnie się jak najprędzej ziściły, tego z serca życzę poczciwym Talianom, dzięki którym niedawno skonfiskował mi pan prokurator kawałek kroniki.

Ale ja się na niego nie gniewam, bo wiem, że to nie wolno, Włochów zaś nigdy nie lubiłem i nie lubię i teraz, gdyż 1) śpiewają fałszywie i mają rozstrojone katarynki, 2) salami weroneckie zamiast z mięsa osłów robią ze szczurów, 3) wino ich „Chianti“ jest zbyt kwaśne, 4) w polityce okazali się ordynarnymi bandytami i godnymi następcami Rinalda.

Chcąc im wobec tego okazać swą pogardę, przechodzę nad nimi do porządku dziennego, zwłaszcza, że i tak zbyt wiele im zaszczytu zrobiłem, pisząc, o nich, jakby o jakich porządnych ludziach.

Już kończyłem kronikę, gdy wpadł mi w ręce artykuł „Kuryerka“, donoszący o rezygnacyi dra Lea ze stanowiska prezydenta miasta Krakowa. Zastanawiało się już nad tą kwestyą prezydyum wraz z radą przyboczną i połomowano odpowiednie uchwały, zaczęto też rozglądać się za następcą tronu.

Zagadki do nagrody.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył R. Królicki, Krościenko n. D.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Dreszcze, odnogi, zima, jętki, Don, dzieło, basen, Łużyce.

Trójkąt magiczny.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą imię i nazwisko współczesnego polskiego malarza.

```
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□
```

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Imię i nazwisko polskiego poety. 3. Forma administracyi. 4. Tytuł. 5 Sprzęt kościelny. 6. Jezioro tatrzańskie. 7. Dział geometryi. 8 Kwiat. 9. Zarośla. 10. Ogół gwiazdozbiorów. 11. Wezwanie przez pisma publiczne. 12. Termin z dziedziny elektryczności. 13. Ptak drapieżny. 14. Przyimek. 15. Samogłoska.

Równanie.
Ułożył R. K., Krościenko n. D.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć tyle zgłosek, ile ich wskazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiego powieściopisarza, w drugiem tytuł jego utworu.

$$\frac{a}{3}+\frac{b}{2}+\frac{c}{3}=x$$

$$\frac{d}{3}+\frac{e}{3}+\frac{f}{3}=y$$

Znaczenie wyrazów: a) Herb polski. b) Inaczej słabość. c) Godność kobieca. d) Sygnał myśliwski e) Rodzaj gry. f) Imię męskie.

Łamigłówka.
Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą nazwiska dwu słowiańskich kronikarzy.

— a — t
— c — t
— y — k
— ę — y
— t — m
— e — b

Przysłowiówka.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich nowe polskie przysłowie:

1. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.
2. Święta Zofia kłoski rozwija.
3. Stary, ale jary, lepszy czasem od młokosa.
4. Mało o to dbamy, co w swej mocy mamy.
5. Bywał Janek u dworu, wie, jak w piecu palą.

Zadanie konikowe.
Ułożył R. K., Krościenko n. D.

Idąc śladem konika złożyć z podanych liter polskie przysłowie:

		r	g		
y	ł	a	c	y	n
	u	w	i	d	
o	b	o	c	h	e

Okienko.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Podane litery uporządkować w ten sposób, aby utworzyły trzy wyrazy. równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
a b b
j k k k k
n n o
o o o ó ó

Znaczenie wyrazów: 1. Ewangelista. 2. Pałac 3 Filozof.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył R. Królicki, Krościenko n. D.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Regina, pręgi, echo i bułat.

Bilety wizytowe.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób

H. DONEW.

STAN HIPOT.

IWO N. DERYŹ.

EWARYST O. FOBICZ.

KONRAD IGNAC ALZ

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Gruszeckiego:* **Maryawita.** Powieść.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 27.

Szarady wojenne: Tarnów. Jarosław. Stryj. Przemyśl.

Trójkąt magiczny:

```
G i e r y m s k i
i n ż y n i e r
e k w i p a ż
r a f a e l
y a z o o
m o r g
s t o
k u
i
```

Równanie:
Orawa + lewkonia + skarabeusz = Walewska.
Limoniada + jelec + służbista + warcaby = Moje służby.

Zadanie do przestawienia Jak się komu nieszczęści, to i z pięści zachrzęści.

Logogryf:

```
      R a d
      n d e
      w a k
    H y m e n
  m i ę k i s z
    k a r e s
      h e z
      a c h
    p u h a r
      t o r
      i w a
      g i l
    Y p e r n
  p ł u c n i k
p r z e k u p k a
i l l u m i n a c y a
```

Zadanie do przestawienia Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie.

Bilety wizytowe: Gwardzista Komedyopisarz. Komisarz rządowy. Ochmistrz Dworu. Przeor klasztoru.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków. D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło. I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała, S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, A. Gralewski Kraków, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor.-Ostrawa, S. Grodzicki Praga, L. Kinalski Praga, Z. Szymanek Nowy Sącz, S. Górski Nowy Jiczyn, J. Ligezianka Przetakówka, H. Miczyńska, Przetakówka

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **M. Klimek, Cieszyn.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani J. G., autorce noweli p. t. „Na obcą ziemię“. Prosimy o nadesłanie adresu, pod którym mamy przesłać odpowiedź, ponieważ list zaginął.

Głosy publiczne.

Otrzymaliśmy list następującej treści:

„Szan. Redakcya „Nowości Illustrowanych“, Kraków, Galicya.

Podpisani, jako jeńcy wojenni z Przemyśla, proszą o łaskawe umieszczenie w szanownem czasopiśmie ich miejsca pobytu w **Skobelewie (rosyjska Azya) przy 14 rocie jeńców wojennych.**

Henryk Gazda, Sanok.
Maks Bein, Kałusz.
Andrzej Ryznar, Łańcut.
Tomasz Krasowski, Odrzykoń.
Stanisław Dąbal, Kraków.
Michał Waluś, Kraków.
Kazimierz Siorek, Rozwadów.
Stefan Sinczak, Berno (Morawy)“.

Pod znakiem wojny.

(Kącik humorystyczny).

Nasze panny.

— Wiesz, Zosiu, mój narzeczony pisze mi z obozu, iż nauczył się w polu doskonale gotować! Wobec tego nie stoi już nic na przeszkodzie, bym mu oddała rękę, gdy tylko powróci.

U pośrednika małżeństw.

W czasie wojennym wiele ludzi porobiło wcale dobre interesy. Znam jednego jegomościa, który, dorobiwszy się trochę grosza, postanowił zakosztować słodyczy małżeńskiego pożycia, a nie mając między płcią nadobną stosunków, użył pośrednictwa jednego z kantorów, tem się zajmujących.

Pośrednik rozłożył przed kandydatem do stanu małżeńskiego całe album, zawierające podobizny niewiast rozmaitego wieku, o każdej miał coś do powiedzenia, ile ma lat, posagu, jakie konekcye i t. d. Gdy już skończył, dodał jeszcze:

— Powiadam panu dobrodziejowi to są same kwiatki!

— Tak! — odparł przybyły — ale chyba... ze zielnika!...

Ogłoszenie.

Panna z kilku językami pragnęłaby znaleźć na czas wojny zajęcie przy poważnej rodzinie.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.